Nr. 30. Poznań, niedziela 26-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Konserwatyzm
„Koła polskiego“.

Dzieje „Koła polskiego“ w ostatniem dziesięcioleciu walki o byt narodowy zdradzają potęgujący się bezustannie przyrost zachowawczych i reakcyjnych prądów w reprezentacyach parlamentarnych społeczeństwa naszego. Źrodła objawu tego szukać należy zarówno w tej wybujałości konserwatywno-klerykalnych kierunków, która od czasu walki kulturnej jest znamienną cechą całego życia dzielnic kresowych, jak w ścisłym sojuszu Koła polskiego z katolickiem „centrum“ i wypływającej z niego licytacyi dążeń reakcyjnych, — a wreszcie i w polityce ugodowej, uchylającej głowy dyplomatów naszych przed konserwatyzmem rządowych i tronowych intencyi Pomijając na razie ogólne tło ultra-zachowawcze życia naszego i oddziaływanie jego na reprezentancye parlamentarne, zwracamy tu przedewszystkiem uwagę na przymierze z centrum i hasła ugody, które ktoś trafnie jako „politykę krótkiej mety“ określił. Cała dyplomacya biorąca z źródeł powyższych swój początek jest arytmetyką ciasną, nie wybiegającą po za rogatki interesów chwili przelotnej, nie wkraczającą w szeroką dziedzinę ewolucyi społecznej i w głębokie podkłady psychologiczne wszelkiej polityki.

Nie przeczymy bynajmniej, że takie sojusze konserwatywne, jakie Koło polskie od pewnego czasu konsekwentnie zawiera, a raczej umizgi, któremi rozbroić się stara stronnictwa reprezentujące siłę i władzą w społeczeństwie niemieckiem, mogą w pewnych warunkach wytargować dla nas jakiś uśmiech kokietyryjny na obliczu rządowem a nawet jakieś drugorzędne zwycięstwo faktyczne przy pomocy silnych sprzymierzeńców o barwie konserwatywnej, lub wreszcie drobną koncesyę u wyżyn tronowych. Ktokolwiek jednak spojrzy z wyższego stanowiska na stosunek narodu naszego do zaborców potrójnego gatunku, ktokolwiek wstecz rzuci spojrzeniem i rozczyta się dokładnie w dziejach porozbiorowych oraz w zasadniczych motywach przeróżnych zmian położenia naszego, ktokolwiek przyszłość naszą na dalszej rozpatruje przestrzeni, ten zrozumieć musi, że dola i niedola nasza stała wczoraj i stać będzie jutro w stosunku prostym do rozwoju prądów humanitarnych i postępowych w tych mocarstwach, które Polskę do granic swoich wcieliły. Czy to w zaborze pruskim, czy austryackim, czy nawet rosyjskim, los nasz wtedy jedynie pomyślnie się układał, gdy w narodach zaborców prądy liberalne silnie się odzywały, zdobywając umysły i serca.

Historya Niemiec zna jedną chwilę w której oswobodzenie Polski stało się hasłem popularnem, nietylko ulubionem przez najwyższe duchy narodu lecz ukochanem przez tłumy. Była to epoka liberalizmu niemieckiego między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem, królestwo myśli konstytucyjnej i wielkich prądów humanitarnych. Jakiś wicher wolności uniósł kraj cały, i zbiorowa dusza niemiecka rozegrała się potężną muzyką rewolucyi francuskiej, a w czarującej tej harmonii brzmiała nuta miłości dla wszystkich co cierpią, dla uciskanych i pokrzywdzonych — dla Polski. A gdy zagasło to słońce postępu i mrok pruskiej reakcyi zaległ w Niemczech całych, gdy w miejsce zuchwałych i szlachetnych „Achtundvierziger“, wstąpił Bismarck z całym absolutyzmem swoim i junkierskim mózgiem, wtedy zawitały do nas wydalania, kolonizacya, banicya języka polskiego i cały arsenał plag narodowych. Jakże dziwną wobec tego wydawać się musi ta polityka Koła polskiego, która w ostatnich latach dziesięciu stała się zaciętym wrogiem dążeń liberalniejszych i heroldem wszystkiego, co myśl swobodną, postęp i humanitarność spętać się stara. Jakiś kopalny konserwatyzm przenika całą politykę naszą i wita ukłonem kagańce ustawy przewrotowej, a przy obradach nad prawem małżeńskiem w nowym kodeksie cywilnym wstecznictwem swojem licytuje centrum katolickie i o głowę przewyższa takich przedstawicieli pleśni i rdzy politycznej, jak baron Stumm w parlamencie niemieckim.

Jest to dyplomacya „krótkiej mety“ panowie z „Koła polskiego“, bo prawdziwe zwycięstwo sprawy naszej to zwycięstwo liberalizmu w Niemczech: im silniej w kraju zaborców krążyć będą te idee postępu, które demokratyczne stronnictwa w sejmie i parlamencie dziś reprezentują, im potężniejszą będzie ta lewica, która dziś w „Kole polskiem“ widzi wrogów swoich, tem jaśniejszem stanie się życie dzielnic kresowych. Przyjaźń rządu i centrum oportunistycznego to chorągiewka na dachu, — oparciem zasadniczem i względnie przynajmniej niezawodnem są tylko stronnictwa lewicy.

Szło ręka w rękę z nami centrum katolickie w ostatniem zwycięstwie parlamentu nad kolonizacyą pruską, ale jakie to targi, jakie *„do ut des“* poprzedziło ten sojusz, ileż zastrzeżeń, wahań i połowiczności było w tej pomocy! A Richter i Bebel? „Wir sind für die Freiheit“, — odparli, gdy polscy w r o g o w i e p o s t ę p u błagali ich o głosy, i bez względów oportunizmu, z twardą jak stal zasadą na ustach stanęli po stronie Polaków. Rząd po krótkim momencie kokieteryi pokazał nam pięść bismarckowską, centrum — ta partya handlarzy politycznych — zdradzi nas prędzej czy później, — wierność konsekwentną dla idei swobody, równouprawnienia, konstytucyi gwarantują najsilniej stronnictwa lewicy.

Nie przeciągajmy struny. Zasadnicze tamowanie ze strony polskiej postępu, zasadnicza walka z stronnictwami liberalnemi pozbawić nas może ostatecznie sympatyi najstalszych przyjaciół. Nie zapominajmy, że i oni są ludźmi i że widząc w Polakach zatwardziałych przeciwników ogólno-ludzkich dążeń postępowych, staną się końcu obojętni dla bytu, walk i cierpień naszych.

I o jednem jeszcze „Kołu polskiemu“ zapominać nie wolno. Z wyżyn arystokratycznych społeczeństwo nasze toczy się z wzrastającą szybkością, jak kula na powierzchni pochyłej, w niziny demokracyi. Ewolucyi tej nic już powstrzymać nie zdoła i za lat kilkadziesiąt staniemy się krajem drobnej własności ziemskiej, drobnego przemysłu i proletaryatu. W tej konieczności rozwojowej tkwi niedwuznaczny drogoskaz dla reprezentacyi naszej w sejmie i parlamencie: zdemokratyzowanie polityki, demokratyczne dążenia i demokratyczne przymierza.

Sprawa n i z i n s p o ł e c z n y c h staje się sprawą n a r o d o w ą i dla tego popieranie zasadnicze wszystkiego, co popiera sprawę drobnej własności ziemskiej, drobnego przemysłu i proletaryatu, jest dziś już kardynalnym postulatem polityki polskiej. Jasnem jest oczywiście, że interesy powyżej wyszczególnionych trzech kategoryi społecznych niezawsze będą identyczne a niekiedy nawet zupełnie przeciwnie, lecz nie paraliżuje to bynajmniej programowej myśli zdemokratyzowania polityki naszej, a nakłada tylko obowiązek w chwilach nieuniknionych kolizyi

godzenia i równoważenia sprzecznych interesów różnych warstw demokratycznych, lub popierania tych, które w danej chwili gwarantują większą korzyść sprawie narodowej.

Nie łudzimy się ani jednej chwili, aby tych kilka uwag, podyktowanych żalem nad rdzawem obliczem polityki obecnej i trwogą o przyszłość społeczeństwa naszego, dokonało rychłego przewrotu w dyplomacyi parlamentarnej; wiemy bowiem dobrze, że głosy prasy nie znajdują w Kole polskiem żadnego odgłosu, a najczęściej niechęć lub wyraźne potępienie w darze przynoszą autorom.

Może jednak nie minie lat wiele, a społeczeństwo, które dziś już budzić się zaczyna, powtórzy głośniej i dobitniej postulaty nasze. Wtedy.... niech oligarchia parlamentarna raczy się dobrze zastanowić nad niedokończonym finałem.





Nasze stronnictwo ugodowe.

Warszawa, 20 lipca.

Śmierć Aleksandra III, uchodzącego słusznie czy niesłusznie za ucieleśnienie bezwzględnego rusycyzmu, i wstąpienie na tron młodego cara obudziły kiełkujące tu i owdzie od dawna już w naszem społeczeństwie nadzieje, powołały na nowo myśl ugody do życia. Głównym rzecznikiem tej myśli ugodowej stał się „Kraj“ petersburski, a za jego przykładem podążyło, aczkolwiek nieśmiało, warszawskie „Słowo“. Nawiasem mówiąc, o jakiemkolwiek stronnictwie z wyraźnym programem politycznym w naszych stosunkach nie może być mowy z tej prostej przyczyny, że panujący u nas system rządowy nie dopuszcza wytwarzania się tego rodzaju produktów politycznych. Istnieją jedynie koterye, grupy złożone z ludzi jednych i tych samych przekonań, porozumiewających się poufnie co do swych celów i zamiarów. Otóż koterya taka grupująca się około dwóch pism wyżej wymienionych, a rekrutująca się nieomal wyłącznie z przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej i wielkich finansów, oraz nielicznych jednostek, należących do inteligencyi w ścisłem tej nazwy znaczeniu, wystąpiła po śmierci Aleksandra III z programem zbliżenia się naszego społeczeństwa, jeźli już nie do Rosyi, to przynajmniej do dworu petersburskiego. Myśl ta wytworzenia pewnego rozdziału pomiędzy carem a jego rządem, przypominająca zresztą pewne eksperymenta pseudo-polityczne, dokonywane swojego czasu i u was, względnie w Berlinie, była dość dowcipną, szkoda tylko, że zrobiła kompletne fiasko. Niebawem przekonano się bowiem, na jak fałszywych podstawach spoczywały kombinacye tak zw. stronnictwa ugodowego.

Przedewszystkiem — jak już zaznaczyłem w pierwszej korespondencyi mojej — fikcyą jest pozbawioną wszelkiej racyonalnej podstawy mniemanie, jakoby polityka Rosyi zależała wyłącznie od woli każdorazowego cara. Zapewne, że samowładny car w danym razie daleko większy wpływ wywierać jest w stanie na bieg tej polityki, niż zmuszony liczyć się z parlamentem monarcha konstytucyjnego państwa. W gruncie jednak rzeczy absolutyzm ten carski istnieje dzisiaj już więcej w teoryi tylko, niż w praktyce. I car rządzić nie może według swej woli, lecz trzymać się musi systemu, naznaczonego przez wolę narodu, a przynajmniej warstw jego miarodajnych. A system ten, wyznać to należy otwarcie, jest wręcz przeciwny jakimkolwiek ustępstwom na rzecz obcych narodowości, wchodzących w skład rosyjskiego państwa.

Błędne też z gruntu jest mniemanie, jakoby obecny nasz ucisk był wynikiem dotychczasowej naszej politycznej postawy, karą za bezustanne jakoby nasze bunty i powstania. Nie ma chyba szczepu w szerokiem państwie cara, któryby większe około rządu rosyjskiego położył zasługi, przyczynił się więcej do wzrostu potęgi Rosyi, jak nadbałtyccy Niemcy. Dostarczali oni przecież zawsze carom rosyjskim najdzielniejszych i najwierniejszych narzędzi do ujarzmienia i gnębienia obcych narodów. Nigdy też nie występowali z bronią w ręku, a nawet z innego rodzaju cokolwiek energiczniejszą opozycyą przeciwko petersburskim swym panom. A jednak ten sam, co u nas; system bezwzględnej politycznej i wyznaniowej rusyfikacyi panuje od całego już szeregu lat w prowincyach nadbałtyckich. Wobec tego stosowanego z konsekwencyą, cechującą całą politykę rosyjską, systemu trudno się łudzić nadziejami co do jakiejkolwiek znaczniejszej zmiany stosunków na korzyść naszą, co do jakichkolwiek ustępstw ze strony młodego cara i jego rządu na rzecz naszej narodowości.

Prędko też rozwiały się iluzye naszych ugodowców. Zmiana tronu nic nie zmieniła w naszem położeniu, i wiernopoddańcze hołdy, składane w Petersburgu przez samozwańczą zresztą reprezentacyę naszego społeczeństwa, żadnych nam nie przyniosły realnych korzyści.

Nie chcemy jednak, aby nas zrozumiano fałszywie, aby nas posądzano o zasadniczą niechęć przeciwko ugodzie z Rosyą. Owszem, jeźli gdzie, to u nas myśl ta w zasadzie na poważną zasługuje uwagę. W każdym razie z pobratymczym bądź co bądź narodem rosyjskim łączy nas daleko więcej punktów stycznych, niż z zaborczym i zabójczym dla Słowiańszczyzny germanizmem. Zbratanie się więc Polski z Rosyą na podstawie równouprawnienia stanowiłoby cel, do którego dążyć by należało wszelkiemi siłami. Chwilowo jednak, wobec systemu, stosowanego wobec nas przez rząd rosyjski, a popieranego przez miarodajne sfery Rosyi, cel ten uważać należy za mrzonkę, dającą się urzeczywistnić w bardzo dalekiej chyba przyszłości.

Swoją drogą zaprzeczyć sie nie da, że w ostatnich czasach mnożą się objawy dowodzące pewnego złagodzenia tak zaostrzonych do niedawna stosunków. Mianowicie spotykamy się w miarodajnej prasie rosyjskiej coraz częściej z głosami, oceniającemi bezstronniej niż dotychczas nasze położenie, a nawet nasze żądania. Być więc może, że

---

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

W pierwszym powozie siedzą państwo: hrabia i hrabina, naprzeciw nich trzy córki; w drugim guwernantki, gospodyni i rządca. Służba idzie pieszo. Z wyjątkiem małych dzieci i głupiego starego Mateusza, nikt nie zostaje w domu.

Do kościoła są trzy wiorsty; w drodze matka przykłada często do oczu perfumowaną chusteczkę, ojciec milczy ponuro.

Cały plac przed kościołem czerni się od ludzi, dwa do trzech tysięcy chłopów i chłopek zeszło się z wsi sąsiednich. Zdaleka wygląda to, jak zbita masa szarych sukman chłopskich, na których tu i owdzie odbija jaskrawo kolorowa chustka.

— „Ce spectacle me fait mal, je pense involontairement à 89!“ — szepce hrabina.

— „De grace, taisez-vous ma chère!“ — odpowiedział hrabia wzruszonym szeptem.

I dziś jak zwykle oczekiwał odźwierny na dzwonnicy zjawienia się powozu pańskiego, a skoro tylko tenże się ukazał na skręcie ulicy, uderzono w dzwony.

Kościół jest wypełniony po brzegi; jabłko nie miałoby miejsca, by spaść na ziemię, ale według starego zakorzenionego zwyczaju rozstąpił się ten tłum z uszanowaniem, przepuszczając panów na ich zwykłe miejsce z prawej strony chóru.

— Módlmy się wszyscy do Pana, módlmy się! — zawołał kapłan, występując w pełnym ornacie zakrystyi.

— I do Ducha Świętego! — odpowiada chór śpiewaków.

Jak jeden człowiek modli się dzisiaj ta ciemna, szara, natłoczona masa. Chłopi i chłopki żegnają się często i padają na ziemię; opalone, ponure twarze pobrużdżone zmarszczkami krzywią się chorobliwie z wysiłku i oczekiwania:

Swiątynio wzdychania, świątynio żałoby,
O biedna świątynio mej ziemi,
Cięższych westchnień nie słyszał
Ani Piotr rzymski, ani Kolosseum.

Ale dziś nie słychać w tej świątyni ani westchnień, ani jęków. Dziś w tej świątyni i nietylko w tej jedynie, ale we wszystkich setkach tysięcy kościołów rosyjskiej ziemi wznoszą się modły tak gorące, tak nieskończonej wiary i nadziei pełne, jak nigdy pewnie od czasu istnienia ziemi równocześnie przez cały stumilionowy lud nie były wznoszone.

— Panie, nasz Zbawicielu, czy zmiłujesz się nad nami, nasza boleść jest wielka i trwa tak dawno, czy teraz będzie lepiej?

Co zawiera cesarski manifest? Dotąd jest jego zawartość znana tylko ze słyszenia, właściwie nikt nic pewnego nie wie, gdyż manifesty przysłane proboszczom są zapieczętowane pieczęcią państwową i dopiero po sumie otwarte zostaną.

Z powodu niezwykłego zgromadzenia się ludu prostego i wielu świec, gorejących w małym niskim kościółku, było pomimo otwartych okien i drzwi nadzwyczaj duszno. Ciężkie wyziewy przepoconych sukien, brudnych butów mieszały się ze swędem świec i dymem kadzideł.

Z kadzielnic wznoszą się niebieskie kłęby dymu, pierś podnosi się ciężko, brak oddechu, a fizyczne cierpienie, połączone z niecierpliwością oczekiwania, staje się męką nieznośną i wywołuje uczucie nieopisanej trwogi.

— Czy to będzie zaraz — pyta hrabina, ściskając kurczowo ręce męża; kapłan podnosi krzyż, mija dobre pół godziny nim wszyscy obecni zbliżyć się mogą, wreszcie skończyło się całowanie krzyża.

Kapłan znika na chwilę za ołtarzem i zjawia się znowu na kazalnicy, trzymając w ręku zwój papierowy z wielką państwową pieczęcią.

Głębokie, długie westchnienie daje się słyszeć w kościele, jakgdyby cały tłum naraz z jednej piersi westchnął. Nastaje nagle ogólne zamieszanie, wielka część ludu,

z czasem wytworzy się w rosyjskiej opinii publicznej, a nawet w sferach rządzących przekonanie o wadliwości systemu, praktykowanego w Królestwie Polskiem. Wówczas też nadejdzie pora dla stronnictwa ugodowego, które w dzisiejszych naszych stosunkach uważać należy za płód poroniony, za kombinacyę polityczną, nie posiadającą żadnych podstaw w szerszych warstwach naszego społeczeństwa.

X. Z.



Przegląd prasy polskiej.

Koło polskie a kodeks cywilny. Nawet dla ultrakonserwatywnego „Kraju“ petersburskiego wydaje się nadto konserwatywnem stanowisko zajęte przez Koło polskie w sprawie kodeksu cywilnego. Oto co pisze Korespondent berliński tego pisma w nr. 25:

„Największe zajęcie budziło prawo familijne, w związku z którem kwestya kobieca wielekroć poruszaną była. Frakcya polska stała na wyłącznie konserwatywnem stanowisku, protestując przeciwko ślubom cywilnym, przeciw rozwodom w razie nieuleczalnej choroby umysłowej, przeciw obniżeniu lat, po za któremi ustaje władza rodzicielska nad dziećmi. Słowem, projekt komisyi był dla naszych posłów o wiele za liberalnym, podczas kiedy większość społeczeństwa niemieckiego przyjmuje go jako anachronizm, nie uwzględniający nowych prądów i pojęć. Dr. Z. Dziembowski, nasz poseł, który przy każdym niemal punkcie głos zabierał, człowiek młody, dobry mówca, znawca litery prawa, stoi na zgoła odmiennem stanowisku, niż dzisiejsze społeczeństwo niemieckie: małżeństwo wydaje mu się stosunkiem, opartym tylko na uczuciu, na wzajemnych ustępstwach, stosunek ojca do syna patryarchalnym i poważnym. Tymczasem, kto zna społeczeństwo niemieckie, dochodzi do wniosku, że uregulowanie prawne stosunków między małżonkami jest koniecznością dla znacznej jego części; podług słusznej opinii, prawo zbyteczne jest dla dobrych i sumiennych, lecz konieczne dla złych i przewrotnych. Najlepszym dowodem, że prawodawstwo dotychczasowe nie zadawalnia sfer zainteresowanych, są protesty masowe kobiet.“

Ten sam korespondent mówi w nr. 24: „Faktem jest, że nowy kodeks nie będzie postępem w znaczeniu kultury, a tylko jednym więcej węzłem w spójności, a więc sile państwa niemieckiego. Czyż istotnie od siły tej spodziewać się możemy, że będzie nam dobroczynną, nie wrogą?

Przy tej sposobności zwracamy uwagę na różnice opinii berlińskiego i poznańskiego korespondenta „Kraju.“ Pierwszy nie godzi się bynajmniej na politykę „Koła“ i niejednokrotnie już wyraził żal głęboki z powodu antihumanitarnych i ultralojanych dążeń reprezentacyi naszej; drugi w każdej korespondencyi zdradza średniowieczne pojęcia zatęchłą reakcyą i klerykalno — ugodowy fanatyzm.

* * *

Bierność polityczna. W ostatnim numerze „Przeglądu Wszechpolskiego“ czytamy:

„Społeczeństwo nasze w ostatnich czasach otrząsa się powoli i wyzwala z bierności politycznej, w której było pogrążone. Nawet w warunkach najmniej pomyślnych, w zaborze rosyjskim objaw ten jest tak widocznym, że dostrzega go świadek niepodejrzany, korespondent „Czasu“ i stanowczo zaznacza, aczkolwiek fałszywie tłomaczy. Ruch ludowy w Galicyi i Poznańskiem, szybki wzrost świadomości narodowej w śpiących do niedawna dzielnicach kresowych — to także pokrewne objawy nowego zwrotu. Nie wyrażają go one całkowicie, ale świadczą o jakimś fermencie, o jakiejś robocie przygotowawczej do zmian ważnych w polityce narodowej. W takiej chwili należy tymbardziej zastanowić się nad zasadami naszego postępowania, należy sprawdzać je i oceniać na nowo ich wartość, oczyszczać je z błędów, pozbywać się pospolitych i fałszywych komunałów i kłamstw umówionych, które jasność sądu mącą....

Niema polityki bez walki, t. j. bez starcia się przeciwnych dążeń i interesów, nie ma walki bez ofiar, bez strat nawet dla zwycięzców. Narody, które skąpią poświęceń, które dlatego, że boją się ofiar, a boją się dlatego, że nie umieją rachować strat i zysków — wyrzekają się zadań swoich, uszczuplają dobrowolnie zakres swych interesów, takie narody zawsze marnieją i giną. Historya nie zna żadnego narodu, któryby zgubiły śmiałe zamysły, szerokie plany, gotowość do ofiar, do wytrwałej obrony swych interesów żywotnych, bez względu na doraźne straty i niepowodzenia. Ale my z własnego doświadczenia dobrze wiemy, jaki los czeka państwo i naród, które nadewszystko spokój miłują i dla tego lubego spokoju, dla uniknięcia przykrych wstrząśnień, zgadzają się na złożenie w ofierze interesów publicznych byle ocalić swoje interesy osobiste. Taką była właśnie polityka polska w epoce upadku. Nie wtedy upadła Polska, kiedy straciła resztę wątpliwej samodzielności, ale już wtedy, kiedy w czasie pierwszego rozbioru dla ocalenia kraju od klęski wojny, dla utrzymania za wszelką cenę pokoju, oddawała dobrowolnie całe prowincye. A nawet wcześniej jeszcze zaczął się ten upadek, kiedy Sobieski odstąpił bez walki Kijów Moskwie i zawarł z nią pokój wieczny, kiedy Rzeczpospolita bez protestu pozwoliła wydrzeć sobie Kurlandyą. Ideałem politycznym ówczesnego szlachcica był taki spokój absolutny, taka cisza błoga, żeby mógł „słodko drzemać na łonie miłej ojczyzny.“ Nie chcąc przerywać gnuśnego wywczasu, społeczeństwo szlacheckie pozwalało obcym poniewierać sobą, abdykowało z godności narodu, poświęcało najżywotniejsze swe interesy i dla usprawiedliwienia swej bezczynności wymyśliło potworną teoryę, że słabość państwa i narodu stanowi „najpewniejsze palladium Rzeczypospolitej.“ Ci, co dzisiaj wciąż mówią o znękaniu i wyczerpaniu społeczeństwa polskiego, które potrzebuje i pragnie spokoju, co twierdzą, że każde poruszenie się narodu, każdy krok śmielszy naraża byt nasz, co drżą z obawy

---

która przedtem nie mogła wejść do kościoła i oczekiwała podczas nabożeństwa na podwórzu, straciła teraz cierpliwość. Przez szeroko otwartą bramę kościelną, wtłoczyła się nagle. Ludzie, stojący na przodzie, padają na stopnie ołtarza; słychać krzyki, przekleństwa, jęki i płacz dzieci.

— „Mon Dieu, mon Dieu, prenez pitié de nous“ — płacze hrabina, chociaż jej żadne niebezpieczeństwo nie grozi, gdyż jest osłoniona chórem.

Dzieci są również przerażone. Po paru minutach zapanował znowu porządek, była cisza jak przedtem uroczysta. Wszyscy słuchają z wstrzymanym oddechem, od czasu do czasu tylko słychać gwiżdżący ton z piersi astmatycznego starca, albo krótki płacz niemowlęcia, które przerażona matka tak gorąco w swych ramionach tuli, że znowu umilka.

Kapłan czyta powoli, śpiewnie, przeciągając słowa tak, jak czyta ewangelię.

Manifest pisany jest stylem książkowym. Chłopi słuchają, zapierając oddech, ale chociaż tak wysilają swoją uwagę, aby zrozumieć ten dokument, który dla nich rozstrzyga pytanie „być albo nie być,“ mogą zrozumieć tylko poszczególne słowa, właściwa treść pozostaje dla nich ciemna. W miarę, jak odczytywany manifest zbliża się do końca, znika powoli naprężenie z ich twarzy, ustępując miejsca wyrazowi trwożnego zakłopotania.

Kapłan skończył.

Chłopi nie wiedzą jeszcze właściwie, czy są wolni, czy nie nie wiedzą kwestyi najważniejszej, dla nich palącej kwestyi życia; do kogo teraz należy ziemia. Milcząc, kiwając głowami, rozchodzi się tłum

Powóz pański porusza się zwolna krok za krokiem przez tłumy ludu. Chłopi idą dalej, zdejmują czapki, ale nie kłaniają się tak głęboko, jak to przedtem czynić byli zwykli i milczą złowrogo.

— Szanowny hrabio. my jesteśmy pańskimi, pan jesteś naszym — zawołał nagle wpośród ogólnej ciszy zuchwały głos pijanego, niepozornego chłopka w, podartem futrze i bez kapelusza, który zdążył się upić podczas tego, gdy nabożeństwo odprawiano. Rzucił się na powóz i usiłował w biegu dotknąć ustami rąk pańskich.

— Nie bądź natrętnym — powiedział mu gniewnie wielki chłopak z dużą ponurą twarzą.

Wieczorem tego samego dnia zebrała się cała rodzina Barancowów w mniejszym salonie hrabiny, oprócz domowych była tu M-lle Julie, ciotka Arina Iwanowna i wuj Siemion Iwanowicz. Zwykle wieczorem był każdy u siebie w pokoju, ale dziś ogólne poczucie nieszczęścia zbliżyło ich razem. Matka leży z migreną na szezlongu, m-lle Julia zmienia jej zimne okłady, ojciec z rękami na plecach przechadza się po pokoju ponury i zamyślony, wuj ukryty w kątku chrapie melancholijnie, ciotka kładzie wielki pasyans i wzdycha przytem głośno od czasu do czasu.

Na dworze dęła śnieżna zawieja, w piecu jęczało tęsknie, jakby się tam ktoś bił i mocował. Naraz wiatrem wstrząśnięte zabrzęczały szyby, hrabina drży za lada odgłosem i zrywa się z szezlongu. W pokoju robi się coraz ciemniej, chociaż knot lampy wykręcono wysoko, paliła się ona ponuro i kopciła; wszyscy jednak udają, jakgdyby tego nie widzieli. Trzebaby dodać oliwy, służba się rozpierzchła, a nikt nie chce wstać zawołać służącego.

— Chłopi podpalili przed paru dniami dom dziedzica w Leskowce — wyrywa się nagle ciotka.

— I podpalą nietylko ten jeden — słychać z kąta złowróżbne krakanie wuja. — Tak, tak nadrobili sobie — powiada po kilku minutach głosem proroczym — zobaczymy jak to zjedzą. Niech ta, wskazał ręką na M-lle Julie — opowie nam jak to było u nich w r. 1789.

— „Mon Dieu, mon Dieu, que l'avenir est terrible“ — szeptała nerwowo matka.

— Nie gadajcie głupstwa, rosyjski chłop nie jest Jakóbinem — powiedział ojciec spokojnie, można było atoli poznać, że ton był wymuszony, ojciec zaś sam bynajmniej nie był spokojny.

— Ach nie, Michale, nasz chłop to bydlę, nasz chłop gorszy niż francuski. — Matka podniosła się i oparła głowę na łokciu — wiesz, że chłop nas niecierpi.

W sąsiednim pokoju zaskrzypiały drzwi, wszyscy zerwali się i spojrzeli przerażeni.

strat możliwych i umieją liczyć tylko ofiary, a nie widzą skutków tego nakładu energii — to nieodroni potomkowie polityków szlacheckich XVIII wieku, spadkobiercy ich mądrości. Wyszukano w przeszłości naszej mnóstwo błędów urojonych lub istotnych, nie zwrócono jednak uwagi na ten fakt znamienny, że nasza myśl polityczna nietylko w pojęciach ogółu, ale nawet w pojęciach wybitnych jego przedstawicieli, nie otrząsnęła się dotychczas z wpływu tej zgubnej tradycyi politycznej, tego doktrynerstwa szlacheckiego, które przed stoma laty doprowadziły Polskę do upadku.

Był to sromotny upadek polityczny potężnego niegdyś państwa, upadek duchowy narodu, którego myśl i wola w epoce mężkiego rozkwitu nie lękały się prób najcięższych i wyprowadzały go z nich zwycięzko. Płodami ówczesnej zgnilizny żywimy się dziś jeszcze świadomie lub bezwiednie, są one dla nas cudownym eliksirem roztropności politycznej....

Polityka realna, jeżeli mamy na myśli jej cele bezpośrednie oraz środki i sposoby działania, nie powinna przekraczać zakresu życia jednego pokolenia, wybiegać za granice tych stosunków, które dokładnie poznać lub z wszelkiem prawdopodobieństwem przewidzieć możemy. Ale nie powinna również zrywać ciągłości interesów narodu, która wypływa z jego tradycyi dziejowej, z jego dążeń przyrodzonych.

Wiemy o tem doskonale z własnego i cudzego doświadczenia, że rozszerzenie zakresu praw narodowych, że wszelkie wogóle nabytki polityczne nie mogą dostać się nam z łaski, że na przypadek szczęśliwy w polityce liczyć nie wolno. To, czego nam potrzeba, musimy wymódz, wytargować, zdobyć, słowem wywalczyć, zniewolić rządy zaborcze do ustępstw i kompromisów. W Prusiech, zwłaszcza zaś w Rosyi posiadamy tak niewiele, zakres praw naszych tak jest szczupły, że polityka nasza nie może być obronną, musi być zdobywczą. Zresztą i walka obronna bez ofiar obyć się nie może. Nie wolno nam zapominać o tem i cofać się z obawy strat nieodzownych. Nie mówimy tu o ofiarach z życia i mienia w przedsięwzięciach ryzykownych, ale o przejęciu się tą myślą, że przebieg każdej walki nawet najszczęśliwiej prowadzonej musi być zmiennym, że nie można w każdej chwili robić dowolnie bilansu zysków i strat na jego podstawie wyrokować o skuteczności działania, że chcąc coś zdobyć, trzeba też coś poświęcić koniecznie. Ocenianie działalności publicznej z punktu widzenia spraw i interesów osobistych jest nową odmianą tej prywaty, która była jedną z głównych przyczyn naszego upadku politycznego i z której dotychczas otrząsnąć się nie możemy. Niema ofiar zbyt wielkich, kiedy chodzi o dobro pospolite, o interesy żywotne i przyszłość narodu. Trzeba strzedz się wysiłków i poświęceń zbytecznych, trzeba rozważnie szafować energią i zasobami narodu, ale nie można wyrzekać się czynnej pracy politycznej, dlatego, że ona ofiar wymaga. Trzeźwość w polityce nie ma nic wspólnego z taką praktycznością poziomą."

* * *

W sprawie solidarności narodowej. Poseł galicyjski hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił z powodu zbliżających się wyborów do rady państwa list otwarty, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Narodowem tedy hasłem, przy przyszłych wyborach do Rady państwa, będzie jedynie hasło jedno: Chcemy, aby solidarne Koło polskie w parlamencie wiedeńskim dało, istniejąc, świadectwo temu, że reprezentuje kraj polski i polskie społeczeństwo. Oto hasło, jakie się powinno odezwać we wszystkich stanach, u wszystkich stronnictw, przy wyborach ze wszystkich kuryi. Poza tem hasłem otwarta walka; wyborem narodowym będzie wybór każdego posła, który do Koła polskiego przystąpi; obowiązkiem narodowym będzie zwalczać wybór Polaka, któryby głośno wołał, że jest Polakiem patryotą, ale chciał równocześnie zniszczyć podstawę politycznej pracy narodu polskiego, kwestyonując solidarność narodową, albo pytając się, na co ta solidarność ma służyć? Ma służyć dla zaznaczenia odrębności narodowej; dla obrony interesów narodowych, dla robienia zdobyczy narodowych. To proste, to jasne, to rozumie każdy obcy, o to nie wolno się Polakom spierać. Nigdy zaś nie jest i być nie powinna zasada solidarności bronią w ręku jednego stronnictwa: kto powiada, że solidarność służy jedynie albo winna służyć do zwycięstwa zachowawczych albo postępowych zasad, tego lub innego zapatrywania na politykę narodową, kto gotów solidarność o tyle tylko uznawać, o ile posłuży jego społecznym teoryom, ten występuje z obozu narodowego, ten bywa przedewszystkiem radykalnym, liberalnym, albo konserwatywnym politykiem, a dopiero potem, to jest wcale nie na prawdę Polakiem; ten gotów zwalczać Polaków, z pomocą obcych, a może i nieprzyjaciół, aby zapewnić zwycięstwo przekonaniom politycznym kosmopolitycznej natury — albo też namiętnościom takim, jak te, które niegdyś demokratę Chmielnickiego zagnały w objęcia Moskwy, a arystokratów Opalińskiego i Radziwiłła zamieniły w popleczników szwedzkiego najeżdźcy.

„Sprawa narodowa, poczucie polskości, domagają się tego, abyśmy wszyscy czynili, co się należy, by zapewnić istnienie solidarnego polskiego Koła w Wiedniu, któreby reprezentowało kraj nasz. Tego mamy dokonać przy przyszłych wyborach, broniąc całości Ojczyzny kartką, oddaną przy głosowaniu, skoro nie możemy iść śladem ojców, którzy granic bronili orężnie. Na zewnątrz mamy, musimy być wojskiem karnem, w którem nie ma rokoszan i zbiegów. Ale niech się w radzie wojennej wszystkie odezwą zdania. Czem głośniej wszystkie mnogie choćby najskrajniejsze odcienia opinii polskiej odezwą się podczas obrad przyszłego Koła, czem bardziej prądy opinii w Kole odzwierciedlą prądy opinii w kraju, tem lepiej solidarne głosowanie Koła wyrazi myśl i wolę narodu: ale Koło to musi być solidarne z narodem, solidarne z Sejmem, który jest bezpośrednim wyrazem woli i potrzeb kraju".

Do powyższego listu dodaje „Słowo polskie" (Lwów) następujący komentarz:

„Nigdy nie jest i być nie powinna zasada solidarności bronią w ręku jednego

---

Matce wyrywa się trwożne „ach!" z piersi.

To Stefan przyszedł zameldować, że podano herbatę.

Na Wierę już czas do snu, ale w pokoju dziecinnym niema nikogo. Otwiera drzwi korytarza. Z dołu z pokoju służby słychać rozmaite zmącone odgłosy: rozmowy, brzęk talerzy i nożów i huczący śmiech. Wiera ma surowo wzbronione schodzić do izby czeladnej, ale dziś zapomniała o tem; i jej tak ciężko na sercu, chce zajrzeć co tam się dzieje.

Stoi parę chwili, wahając się, ale nie należy do lękliwych; ciekawość zwyciężyła i szybko jak strzała zbiega Wiera na dół.

Tam wszystko idzie wesoło. Rano było usposobienie służby wyczekujące, nawet przygnębione, lękano się jeszcze w to wierzyć, ale wieczorem ton się podniósł. Skądś dostano wódki do kolacyi, wszyscy byli podochoceni, ani śladu z porannego przygnębienia; twarze płoną, oczy są wilgotne, a włosy rozburzone.

Zapach kwaśnicy i chleba żytniego miesza się z ciężkiemi wyziewami wódki i ostrym, piekącym dymem tytoniu; dźwięki rozstrojonej harmoniki, krzykliwe głosy — wszystko to uderzyło Wierę przy wejściu. Ujrzawszy ją, umilkli nagle wszyscy, powstali, ale tylko na chwilę. Wkrótce wszczął się hałas nanowo.

— Panienko, panienko, chodźno tutaj, nie bój się — wołał pijany woźnica. — Cóż, płaczą państwo na górze? żal im, że już nie wolno nas tyranizować.

— Nieprawda, nieprawda, nieprawda, nikt was nie tyranizował. ojciec i matka są dobrzy — zawołała Wiera głośno, tupnęła nogą w bezsilnej złości.

Krew Barancowów obudziła się, byłaby wybiła tych bezwstydnych parobków, oburzenie stłumiło w niej obawę.

— Nie tyranizowali, jakto nie? a czy nieboszczyk dziadek panienki mało ludzi nakaleczył, dlaczego posłał Andriuszkę stolarza do wojska, choć to nie jego kolej była, dlaczego posłał Arinę do pilnowania bydła? słychać z rozmaitych stron.

Harmonika umilkła, służba zebrała się w kupę i zaczyna opowiadać historye z dawnych dobrych czasów, straszne — od których włosy stawały na głowie.

— To był dziadek, ale ojciec i matka są dobrzy.

Wiera już nie przeczy teraz, mówi cicho, jakby zawstydzona przez łzy.

— Tak, młodzi państwo jeszcze ujdą, dobrzy są — przyznali niechętnie niektórzy.

— Tak, teraz pan trochę się uspokoił, ale dosyć nam dziewczętom się nadokuczał — zauważyła złośliwie stara klucznica.

— Wy bezbożnicy, grzesznicy, czyż wam nie żal młodego dziecka — zawołał nagle oburzony głos piastunki. Już dawno biegała po całym domu, szukając dziecka, dopiero teraz przyszło jej na myśl zaglądnąć do izby czeladnej.

Wiera nie mogła tej nocy usnąć, nowe straszne, poniżające myśli kręciły jej się po głowie. Nie umiałaby sama powiedzieć co ją tak bardzo boli, dlaczego się tak strasznie wstydzi. Leży w swem łóżeczku i płacze, płacze. A z dołu, z izby czeladnej dochodzą ciężkie kroki, rozstrojone dźwięki harmoniki i urywane odgłosy pieśni tanecznej.

III.

Po uwłaszczeniu chłopów zmieniło się nagle wszystko w domu. Dochody z majątku zmniejszyły się tak bardzo, że całe gospodarstwo musiało być prowadzone na inną stopę.

Wójt zmienił się nagle, z dzielnego człowieka zrobił się zwykły łotr: stał on się teraz grubiańskim, robił przy wszystkiem trudności i nigdy nie przynosił na czas pieniędzy. Ojciec był zmuszony oddalić go i przyjąć innego, ale z tym szło jeszcze gorzej. Prawie każdego dnia wyrastały jakby z pod ziemi stare długi i zobowiązania, zaciągnięte tak dawno, że hrabia o nich zapomniał. Na widok każdego nowego weksla hrabia wybuchnął gniewem, dowodził, że go sfałszowano, ale zapłacić musiał. Okazało się koniecznem sprzedać Betino, Stepino, łąki i lasy; zostały tylko Barki z małym kawałem ziemi. Największą nieprzyjemnością było, że obecnie trudno było znaleść nabywców na ziemię, a wszysko musiano oddawać za połowę ceny. Większą część

stronnictwa". Niestety, zbyt często nią bywała — zbyt często zdarzało się, że zasady tej używano do celów stronniczych tak dalece, że zdawać się nieraz mogło, iż obowiązuje ona tylko wtedy, gdy idzie o to, aby przy jej pomocy zwalczyć kierunki postępowe i demokratyczne. Występowało to nieraz jaskrawo i w Kole polskiem i w komitetach centralnych. Odezwa prezesa komitetu jest nam rękojmią, że się to zmieni na lepsze. Niech przy wyborze mężów zaufania na powiaty wszystkie stronnictwa będą uwzględnione; niech w składzie komitetów powiatowych wszystkie znajdą odpowiednią reprezentacyę; niech komitety powiatowe mają zupełną swobodę stawiania kandydatów, bez względu na odcienia polityczne, byle tylko wyznawali zasadę solidarności Koła; niech im kandydaci nie będą narzuceni, — a wtedy i przy wyborach i po nich, w samem Kole, solidarność będzie tem silniejszą, że będzie ochocza, szczera, nie narzucona i nie wymuszona i że się nikt przez nią nie uczuje pokrzywdzonym. Do takiego sprawiedliwego uwzględnienia i zastrzeżenia stanowiska wszystkich stronnictw przy wyborach zobowiązał się swym listem prezes komitetu."

Oby sobie politycy poznańscy zapamiętali powyższe słowa.

— ski.



Secesya.

(Internationale Kunst-Ausstellung „Secession" 1896)

Monachium, w lipcu.

Secesya minęła się ze swem godłem. Grecka, klasyczna, harmonijna i niepokalana w swej stylowej czystości twarz młodzieńca z fantastycznym hełmem na głowie, ten „stempel", że się tak wyrażę, firmowy, po którym z daleka już każdy prawowierny monachijczyk poznać może zawiadomienie, lub ogłoszenie secesyonistów, — nie wyraża i nie uwydatnia tego, czem secesya być zapragnęła, czem poniekąd już jest.

Przyjmować najoryginalniejsze, najfantastyczniejsze i najdziwaczniejsze nawet dzieła, byle w chwili prawdziwego tchnienia rzeczywistego talentu spłodzone — oto zadanie Secesyi. Samoistne pojęcie, sposób malowania, oświetlenia, harmonii, rodzaj kontrastów, doboru barw i kolorów, wszystkie metody oddawania i przelania na płótno tego co się w duszy czuje — to już twoja rzecz artysto. Ty nam tylko daj coś, coby naszą uwagę przykuło do twego obrazu, coby nam niepozwoliło przejść mimo niego obojętnie i zimno, bez zauważenia nawet, co przedstawia i zawiera, coby nam kazało patrzeć, wzruszać się, radować, lub podziwiać... To twoje zadanie, artysto....

W praktyce niestety to nieco inaczej wygląda. Na wystawie Secesyonistów zaznacza się ogólnie prawie szeroka, niedbała, nie bez dzielnego jednak czasem zacięcia fantazya w robocie, pewne lekceważące, a nawet pogardliwe traktowanie procesu tworzenia. Pomysły to od niechcenia i jakby chorobliwie rzucane szerokiemi plamami, to znowu grubemi i wydatnemi smugami, są pociągnięciami pędzla, przysiągłbyś, zniecierpliwionego, rozdenerwowanego, lekceważącego. Uganianie się nie zawsze szczęśliwe za oryginalnością i dobitne, mocne wyłamywanie się z pod szablonu, dążenie do swobody w twórczości, rozmach pędzla i szerokość rzutu — to są główne właściwości tych wszystkich młodych z Secesyi. Uderza tu odrębna atmosfera jakaś, wygląd, nastrój cały i usposobienie. Czujesz, żeś wstąpił do przybytku, gdzie nie chwytają za nogi, gdy rów przesadzać zechcesz, gdzie ci bez mała na wszystko prawie pozwolą.... I to jest wielką zaletą Secesyonistów. Tu może nieraz jaskrawiej i zgrzytliwiej dotknie cię jakiś kontrast niemożliwy, lub zgoła dziki, niż w takim Glaspalaście np. — tu częściej staniesz przed obrazem i stukając się w czoło, bezskutecznie odgadywać będziesz, co on przedstawia,... ale też tu nieraz pełniej odetchniesz, serce ci żywiej zabije, lub myśl rozpłomieni.... I nie dla tego, byś tu ujrzał coś wspaniałego, genialnego (jak mówią filistrzy) i wiekopomnego (jak mawiają entuzyaści), nie.... Tutaj w tym roku przynajmniej tego nie zobaczysz... Są może rzeczy, których się zbyt prędko nie zapomni, lecz silnie wrażających się w mózg i duszę tu niema... Jednak i za to powiesz „dank" przy wyjściu i może nieraz tu z ochotą wrócisz... Będzie cię zajmować to zbiorowisko niesforne jaskrawych prawie bez wyjątku płócien, ta massa barwnych plam, to rzucanie od niechcenia pomysłów swych na płótno...

Wspomniałem już o tem. Tak jest. Robota to po największej części szkicowa, czasem wręcz niedbała, a jednak niektóre z tych obrazów zwycięzko pobijają wyszczotkowane utwory „tych innych".

U Secessyonistów, pomimo wielu niedonoszonych, albo zwichniętych w locie ptaków, nie ma tyle, nawet prawie że niema wcale, tej mocy wylizanych, wymęczonych nieledwie obrazów i obrazków... I z pewnością mniej tu różnych krówek, krówek z barankami, baranków z osiełkami, kawałków trawki z trochą wody, odrobiny wody z trochą żabek w niej itd. itd., tej całej litanii „genialnych" pomysłów i „wspaniałych" tematów. .

Tu napewno mniej znajduje się tych grzecznych, bo po samą szyję ubranych, ładnie uśmiechniętych, z paluszkiem w gębie zanurzonym, bezmyślnych, a tak pięknie przez matusię wystrojonych, w tak poprawnych sukienkach paradujących „baranków" i owieczek". Poczciwe dzieci! Czegoż od was jeszcze więcej żądać się ośmielają?

Robota szkicowa secesyonistów (tam, gdzie ona nie jest dobrze i trafnie zastosowaną), przyznać trzeba szczerze, — razi, budzi żal... Dlaczego, dlaczego tak mało zadałeś sobie trudu, albo czemu chcesz nam tanim sposobem zamydlić oczy i na swój lep bez wysiłku brać? U niektórych jest ona pewnie naturalną, choć koszlawą, u drugich umyślną, ale nie osięgającą efektu, właściwie — wrażenia zamierzonego. Bo nie każdy może kilkudziesięcioma pociągnięcia-

---

żby trzeba było oddalić, a pozostała przyzwyczajona od dziecka do próżnowania, szemrała od rana do nocy, że obarczono ją nową pracą. Państwo gniewali się — a gniewanie się i zły humor było teraz normalnym stanem państwa. Kłócili się dość często ze sobą, ale kłótnie te tym razem tak mało były podobne do dawniejszych, jak zimny, gęsty deszcz jesienny do ciepłego wiosennego deszczyku. Nie z zazdrości kłócili się teraz hrabia z hrabiną, ale o pieniądze. Za każdym razem kiedy ich hrabina zażądała, robił jej hrabia wymówki, że jest rozrzutną, niedbałą i leniwą. Żaden obstalunek nowej sukni dla niej, lub dla córek, nie odbył się bez podobnych scen. Z drugiej strony jak tylko hrabia wspomniał o przejażdżce do miasta, albo do sąsiada, zaraz nerwy hrabiny zaczynały tańcować; ale nie lękała się teraz pięknych sąsiadek, chodziło jej tylko o to, żeby hrabia nie przegrał pieniędzy w karty, lub nie stracił ich w inny sposób.

Z każdym dniem było gorzej — odmawiano sobie wszystkiego, a przecież nie starczyło pieniędzy. Jak wszyscy niepraktyczni ludzie byli hrabstwo oszczędni, stosowali jednak oszczędność nie tam gdzie potrzeba, odmawiali sobie najpotrzebniejszych rzeczy w domu, o każdy kawałek cukru, o ogarek świecy wszczynały się kłótnie, ale wszystkie większe wydatki pozostawały nietknięte. Wójt, rządca, klucznica, kucharz, woźnica — wszyscy wzbogacali się jak dawniej kosztem hrabstwa, z tą tylko różnicą, że przedtem każdy kradł z miarą, z pewną względnością. Teraz robiono sobie często wyrzuty bez przyczyny, ustawicznie grożono winnym, a to jeszcze nieprzyjaźniej usposobiało służbę; większa część też zabierała przed odejściem ile tylko mogła; i tak okradano państwo złośliwie i zuchwale.

Wszystko w domu nosiło teraz piętno sknerstwa. Przez ustawiczne sprzeczki i nieprzyjemności oboje hrabstwo również wiele stracili. Wiera, przypominając sobie swoją matkę, miała w wyobraźni dwie kobiety zupełnie różne i niepodobne do siebie: jedną młodą, piękną, wesołą — to matka jej dzieciństwa; drugą kapryśną, kłótliwą, niedbałą, zatruwająca życie sobie i drugim, to matka ostatniego okresu.

Podobnie działo się u wszystkich sąsiadów. Właściciele tracili grunt pod nogami i nie wiedzieli, co się z nimi działo. Nie było już śladu przyjemności ani rozrywek. Gdy dwaj lub trzej właściciele zebrali sie razem, słychać było tylko skargi na chłopów i rząd. Młodsi i energiczniejsi porzucali gospodarstwo, wyjeżdżali do miasta szukać stanowiska, na wsi pozostali tylko starzy. Lena i Liza były teraz dorosłemi pannami, obie umierały z nudów i szemrały przeciwko losowi. Rzeczywiście strasznie się z niemi obszedł, co się zostało z ich wszystkich świetnych nadziei? Ich młodość cała, ich wychowanie było, rzec można, tylko przygotowaniem do owego szczęśliwego dnia, w którym miały włożyć długie suknie i wejść w towarzystwo, a teraz dzień ten nadszedł i nie przyniósł im nic prócz nudów. Wiera żyła również nieszczególnie wesoło. Pierwszą oszczędnością w familii Barancowów było, że oddalono cały personał, zajmujący się dziećmi. M-me Night odprawiono pod jakimś pozorem, M-lle Julie nudziła się i odjechała sama. Rodzice byli zdania, że nie mają środków, aby trzymać guwernantkę do samej Wiery. W miasteczku gubernialnem otwarto naówczas pierwsze gimnazyum dla dziewcząt, ale tam chodziły przeważnie córki mieszczańskie, córki kupców i małych urzędników, a hrabina Barancow była od samego początku niechętna temu zakładowi. Postanowiono oddać Wierę do Smolnego instytutu, mówiono o tem rok cały. Nakoniec napisała hrabina do starej przyjaciółki do Petersburga i prosiła o podanie warunków przyjęcia, dostała jednak wkrótce niespodziewaną odpowiedź, że Wiera już nie jest w tym roku, żeby mogła być przyjętą do tego instytutu.

Więc hrabia zaproponował starszym córkom, aby się zajęły wychowaniem Wiery, ale projekt ten nie podobał się bynajmniej pannom.

— Czyż nas wychowano na guwernantki? — szemrały, zabierając się niechętnie do roboty.

Według ich zdania, była Wiera głupią, leniwą i mało inteligentną. Żadna lekcya nie obeszła się bez łez, nauczycielki i uczennica starały się godziny skracać jak naj-

mi pędzla stworzyć i wywołać to, czego pragnął... Panowie, powinniście pamiętać o tem...

A mimo to, oglądając wystawę Secesyonistów, wynosi się to niezłomne przekonanie, iż instytucya ta potrzebną jest koniecznie. I gdyby się miały te pogłoski sprawdzić (nie chcę w to wierzyć), że Secesya zleje się z Glaspalastem napowrót, byłaby to szkoda niepowetowana...

Pogardliwe traktowanie (w szlachetniejszem rozumieniu) sądów motłochu i zdań jaśnie-oświeconej krytyki, młodość, gdzieniegdzie wielka tężyzna i pewność, często śmiałość i, że się tak wyrażę, jędrna lekkomyślność biją z wystawy krnąbrnych buntowników i uwydatniają najbardziej i najdosadniej potrzebę ciągłego, koniecznego wyrywania się z zasklepionej formułkowatości dotychczasowych sposobów i sposobików artyzmu... Powinniśmy jednak pamiętać o tem, że choć na całym świecie we wszystkiem, a w sztuce chyba najwięcej, niema nic gorszego nad rutynę, zaskorupiałość, stęchłość duchową, lub zadawalnianie się kilkudziesięcioma „nieomylnemi“ i zawsze pewnemi receptami specyalistów od 365-ciu obiadów artystycznych, to jednak przesada w drugim kierunku umyślna, czy też mimowolna, w to wchodzić nie możemy, jest chyba jeszcze czemś gorszem. Mniej więc tych jajecznic, marmolad i makagig. — wszakżeż można godzić się na wszystkie impresyonizmy i inne „izmy“ ale w granicach zdrowego smaku estetycznego i rozumu....

A tak, do czegoż się dojdzie? Wszakże wielu pewnie widziało tych parę impresyonistycznych krajobrazików nieboszczyka Podkowińskiego, z jego smutnych ostatnich zapasów ze śmiercią (wystawione wtedy w „Zachęcie“ warszawskiej, pod pseudonimem „Ausgarego“). Były to rzeczy (niektóre z nich) niemożliwe pod względem niesłychanego, drożniącego i denerwującego, a więc nienaturalnego kontrastu barw, co jednak nie przeszkodziło artyście tak wspaniale i tak umiejętnie stonować wszystkich kolorów w sławnym, potępianym i uwielbianym zarazem „Szale“. I któryż z tych dwóch rodzajów twórczości zgotował laur Podkowińskiemu? Zakusy zbyt oryginalnej „oryginalności“ nie mają chyba racyi bytu...

Obrazów wydatniejszych jest w Secesyi względnie dość sporo. Nie wymienię ich wszystkich. Wspomnę tylko „Nieczyste sumienie“ Franciszka Stucka, wynoszonego przez jednych, przez drugich z błotem mieszanego malarza. Utwór ten przedstawia złego, rozogniomego mężczyznę w ucieczce, a gonią go złe istoty, unoszące się w powietrzu. W rękach trzymają pełne zwoje wężów.... Wszystko to na tle gorącego, płonącego nieba. Obraz ten ustępuje innnym, dotychczas przez tego malarza stworzonym dziełom. Bardzo dobre jest Karola Busse „Płonące morze“ i grubo lecz odrębnie malowana „Orka“ Gioranniego Segantigniego. Trudno nie chwalić, tak to jest dobre, konie szczególniej. Obraz ten zakupiła Nowa Pinakoteka do swoich zbiorów. Wogóle Pinakoteka porobiła sporo zakupów w Secesyi tegorocznej. Prócz „Orki“ kupiła jeszcze mniej już dobre płótno Kalckreutha (W deszcz), Herterieha (Wieczór letni), Habermana (Mnich). Jest tu i sławny Boecklin z Florencyi, ale nie wystawił nic takiego, coby poprzednie prace jego zaćmiło. Dużo tu jeszcze rzeczy dobrych, lecz na tem poprzestaję już dzisiaj. Rzeźba ubożuchna i nic szczególnej uwagi godnego.

Na zakończenie warto podnieść ciekawy fakt i przeprowadzić maleńkie porównanie statystyczne. Oto, gdy na wystawie Secesyonistów monachijskich malarzy rosyjskich znajduje się aż czterech (każdy z nich wystawił po parę obrazów), — naszych polskich jest.... aż dwóch. Potężna to cyfra, niema co mówić, i wymowna! Niemcy, nabiorą kolosalnego pojęcia o naszej produkcyi artystycznej. Co to jest? Tu już chyba trzebaby zapytać panów malarzy Polaków. W każdym razie nie można im odmówić wielkiej skromności i wstrętu do popisywania się swemi zaletami.... Cześć im za to!

Pan Samuel Hirszenberg z Łodzi wystawił dość duży obraz „W święto sabbatowe“: ładne to i rzewne. Rodzina żydowska zgromadzona przy łóżku starej, chorej babki, wnuk czyta, dziadek tuli do piersi małe dziecko, młoda dziewczyna, oparta o okno, stoi zadumana smętnie... Ten obraz przemawia do widza swą prostą i nie naciąganą treścią... Panna Olga Boznańska z Monachium dała „Portret młodego mężczyzny.“

Ot i wszystko.

A.



Pamiętniki krytyka.

Paryż, w lipcu.

P. Juliusz Levallois ogłosił pamiętniki bardziej literackie, niż osobiste. Rozpoczął zawód swój w najświetniejszej epoce Cesarstwa, a doprowadza czytelnika do upadku Komuny. Hr. d'Argout, o którym król dowcipnie mawiał, że jest zdolny do wszystkiego, prócz podania się do dymisyi, czytywał jaknajwięcej powieści, twierdząc, że są najwierniejszem zwierciadłem życia. W powieściach jednak wyobraźnia zbyt wielką odgrywa rolę. Autorowie pamiętników bardziej oszczędzają prawdę, więcej odsłaniają duszę ludzką.

Juliusz Levallois był przez długie lata sekretarzem Sainte-Beuva, recenzentem wielkich dzienników paryskich. Pisarze są zwykle bardzo czuli na pochwały krytyków, Levallois poznał mistrzów Parnasu francuskiego z ostatnich lat 30-tu, uczęszczał też trochę na pogadanki cyganeryi poetyckiej, więc może z niezaprzeczoną kompetencyą oceniać jednych i drugich.

Surowy jest dla Baudelaira; zapewnia, że w nim wszystko było sztuczne i że wszystko obrachował na galeryę, chociażby złożoną z jednego widza. Przytacza aforyzmy które zdobyły Baudelairowi famę głękokiego myśliciela w knajpach studenckich. Narzekał np. na ckliwość barwy drzew. „Chciałbym — mawiał — mieć łąki czerwone rzeki żółto-złote, a drzewa niebieskie. Brak naturze imaginacyi.“ Widać, że Baudelaire jest ojcem impresyonizmu w malarstwie. Artyści tej szkoły mają o wiele więcej imaginacyi, aniżeli przyroda.

Raz odwiedził Levallois Quineta w Veytaux. Quinet zgryziony był wygnaniem, wyobraził sobie, że w Paryżu mordują ludzi

---

częściej, a że rodzice widocznie prędko zapomnieli o nieszczęśliwej kwestyi wychowania swej najmłodszej córki, ustały lekcye w zupełności i w 14-tym roku życia była Wiera zostawiona zupełnie samej sobie. W lecie było jeszcze jakotako: całe dnie spędzała w parku, albo biegała po polach i lasach. Dzieci wiejskie umykały przed nią trwożnie, a prawdę powiedziawszy i ona lękała się ich niemniej. Gdy przypadkiem szła przez wieś, zdawało się jej zawsze, że ją wszyscy wyśmiewają i pogardzają nią. Budziło się w niej instynktownie nieprzyjazne uczucie dla chłopów.

W zimie żyła Wiera gorzej jeszcze, niż w lecie. Biegała po dużych pustych pokojach, tułała się po wszystkich kątach, nie znajdując zajęcia. Z nudów zaczęła szperać w bibliotece, ale tam były tylko francuskie książki, a Wiera, która w 5-tym roku życia tak dobrze po francusku mówiła, teraz zapomniała zupełnie i nie rozumiała tego języka.

Najgorsze było to, że wszyscy w domu byli zawsze w złych humorach. Gdziekolwiekbądź się zwróciła, wszędzie była sprzeczka, a przedewszystkiem gniewano się na nią. Gdy spojrzała na siostry, kłóciły się one o drobiazg, o szmatkę, której nie mogły podzielić między siebie. Jeżeli się czasem przeciw wszelkiemu oczekiwaniu pogodziły, skarżyły się obie na rodziców.

— Tak, o n i nie żyli tak, jak my, kiedy byli młodzi, majątek zmarnowali, a teraz my musimy tu gnić i nudzić się na wsi.

Gdy się Wiera zwróciła do matki, natrafiała zawsze na scenę z pokojową, albo z klucznicą. A w izbie czeladnej było jeszcze gorzej. Słowem, zdawało się, jakgbyby wszyscy po to istnieli, aby sobie nawzajem dokuczać. Jedyną w całym domu, która nikogo nie dręczyła, nikomu nie dokuczała, na nic się nie skarżyła, była stara Niania — miała tylko jedną troskę: żeby lampka przed świętym obrazem w kąciku jej izdebki nie wygasła. Była szczęśliwą i zadowoloną, gdy miała parę kopiejek na kupienie oliwy. Starą, prawie oślepłą kobietę zostawiono w domu, ale zdaje się, że zapomniano jej zupełnie, całemi dniami nie zaglądano do niej, tylko dziewka przypomniała sobie czasem i podawała jej coś do zjedzenia, albo jej ulubienica, Wiera, przychodziła do niej wieczorem. U wstępu do malutkiej izdebki Niani, gdzie zwykle uderzał dziwny zapach kadzidła, oliwy i kamfory, opanowywało Wierę dziwnie spokojne, błogie uczucie.

— Nudno jest, Nianiu — mówiła, siadając na nizkim stołeczku i opierając głowę o prosty stół drewniany.

— Dlaczego się nudzisz dziecko, pomódl się do Boga — mówiła Niania takim tonem, jakim zwykła była przemawiać do Wiery, gdy ta miała pięć lat.

A Wiera słucha rzeczywiście tej rady i zaczyna się modlić. Modli się gorąco, namiętnie z przejęciem. Namiętność do religii, do zewnętrznych jej form, zaczyna powoli wypełniać puste próżniacze życie dziecka.

W tym roku przed świętami Bożego Narodzenia, pościła Wiera przez trzy tygodnie, a w sam dzień wilii nie jadła nic, nim gwiazdy nie zabłysły na niebie. Dlatego też, gdy o zmroku jak zwykle księża przyszli, aby przed ołtarzem zaimprowizowanym w kątku jadalnym odprawić nabożeństwo, czuła przyjemne osłabienie we wszystkich członkach, jakgdyby już nie miała ciała i mogła każdej chwili z ziemi odlecieć.

Błękitne chmury dymu, wznoszące się z kadzielnicy, napełniały pokój, przez nie połyskiwały słabe promienie świecy. Przenikający słodkawy zapach kadzidła przyprawiał o ból głowy.

„Spokojne światło, święta sławo,“ śpiewali, a Wierze wydawało się, że śpiew płynie z oddali.

— Niczego, niczego więcej nie pragnę na świecie, tylko Tobie służyć, Panie! — myśli wzruszona. Jej dusza jest pełna wielkiej, jasnej radości, łkanie ekstazy podnosi jej pierś.

Tego samego dnia dokonał się na niej cud, właściwie ona to za cud uważała, to co się jej wydarzyło.

Chociaż stara Niania nie umiała ani czytać, ani pisać, przechowywała jak świętość kilka książek religijnej treści i prosiła czasem małej panienki, aby jej z nich coś głośno przeczytała. Pomiędzy temi książkami było „Życie 40-tu męczenników i 30-tu mę-

na rogach ulic, i gorszył się, że flegmatyczni szwajcarzy nie podzielali jego oburzenia. „Genewa nie może jednak — szepnął jeden z nich — wypowiedzieć wojny Francyi!“ Biedny Levallois zaproponował przechadzkę do sąsiedniego uroczego Chillonu. „Dosyć jest więzień w Europie — odparł Quinet żeby zwiedzać jeszcze więzienia szwajcarskie!“ Zmieszany obrócił się, do pani Quinetowej, rumunki z pochodzenia. „Czy pani Jass nie żałuje?“ — zapytał. „Jestem francuzką“ — odrzekła mu z oburzeniem.

Adolf Guéroult, przyszły dyrektor dziennika „L'Opinion Nationale“, rozpoczął swój zawód w redakcyi „Debats'ów. Narzekał raz na niedorzeczności organizacyi społecznej. „Potępiasz nadużycia — rzekł do niego Saint-Marc Girardin — bardzo to pięknie, ale może lepiej byłoby z nich korzystać.“ Odpowiedź ta zawierała całe *credo* orleanizmu.

Na jakimś wieczorze literackim, jedna pani, przybyła z prowincyi, wyraziła zdanie, że znakomici pisarze powinni być przystojni. Zaprowadzono ją do stolika, przy którym grali w karty: Eugenjusz Delacroix, podobny do czarownicy, Sainte-Beuve, który wyglądał na odźwierną, i Balzac. istny rzeźnik.

Levallois d. 4-go września 1870-go roku spotkał Vermosela, przyszłego członka komuny, który do niego rzekł: „Rzeczy nie szłyby tak źle, gdybysmy nie mieli prusaków na widnokręgu.“ Można powiedzieć że tysiące francuzów w tej chwili tak rozumiało i dąsało się na tę małą chmurkę niemiecką, zaciemniającą im widnokrąg! „Ludność — pisze Levallois — robiła wrażenie uczniów raptem uwolnionych od nauczycieli. Płynęli sobie do Charenton lub Auteuil oglądać improwizowane fortyfikacye, stare pale wbite w ziemię, które miały stać się „grobem konnicy pruskiej“, jakgdyby Moltke zamierzał kiedykolwiek zdobyć Paryż szarżą ułanów!“

Levallois schronił się do Rouen. Znalazł tam Flauberta, wściekłego na Paryż; zapewniał, że Paryż był miastem skażonem, nieszczęsnem, nie godnem zostać stolicą Francyi; że już nigdy osoby bogate, spokojne, cywilizowane do niego nie powrócą, że ludność tameczna nie zostawi kamienia na kamieniu, a o literaturze już mowy być nie może. Levallois trafnie tłumaczy usposobienie gniewne pisarzy paryskich, którzy musieli uciec z Paryża. „Literat, człek zwykle bardzo łagodny, staje się łatwo srogim, jeżeli mu zakłucają tryb życia i brutalnie mącą jego poszukiwania i medytacye.“

Levallois, dokładny, ilekroć pisze o ludziach, których znał i słyszał, jest mniej wiarogodny, czerpiąc w cudzych opowiadaniach. Dwie czytuje anegdoty o Adamie Mickiewiczu. Jedna i druga mogą mieć źdźbło prawdy, ale uległy upiększeniu. Mickiewicz lubił wyrażać się przypowieściami i często powtarzał, że nie wiemy, czem są zwierzęta, że mogą to być pokutujące duchy. Tego rodzaju spostrzeżenie przybiera w dziele Levallois kształt dziwaczny. Jakiś Herandeu (były ksiądz) zapewnił autora, że poeta, przechodząc po południu w wielki upał przez Pont-Neuf, wspomniał mu o grzesznikach, zamienionych w konie omnibusowe.

Druga anegdota przedstawia Mickiewicza, machającego laską podczas prelekcyi w College de France. Levallois nigdy nie był na żadnym wykładzie poety i sam dodaje w przypisku, że nie trzeba spuszczać się ślepo na legendy, bo jeden z słuchaczy Mickiewicza pisze, że jeżeli poeta opierał się na lasce, to nigdy nią nie machał, że był usposobieniem godności, starym szlachcicem XVIII-go wieku, z okiem natchnionem, z głosem drgającym i z postawą, nie pobudzającą wcale do śmiechu.

Zal było wyrzucić zmyśloną anegdotę, więc Levallois zaprzeczenie ogłosił, ale anegdotę zostawił. Przypomina to Lamartina, któremu świadek jakiegoś zdarzenia z pierwszej rewolucyi dowiódł grubego błędu. „Czy przekreślić tę stronicę?“ — zapytał go sekretarz. „Opowiadanie to ładne — odpowiedział Lamartine — nie zmieniajmy ani słowa.“

Wł. Mickiewicz.



„Na służbie,“

(Zofia Kowerska „Na służbie,“ powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, t. I, str. 292, t. II. str. 257.)

Jakiś czas łudził się p. Zenon Stamarski zwodniczemi nadziejami, że się utrzyma na urzędzie, który wśród powszechnych przeobrażeń naszego stulecia pozostał już tylko jako samotna wysepka in periculo maris. Powodziło się mu dotąd w życiu tak świetnie, że wystawiano go młodzieży na dorobku jako dowód, że pracą i zdolnością dojść można do znaczenia i majątku. Majątek ten składał się wprawdzie tylko z wystawnie prowadzonego domu, powozu i paru koni do wyjazdu z wizytami i na rozmaite corsa; ale za to dziatwy była gromada spora i wychowanie jej prowadzono w takim stylu, jak gdyby chłopcy wyjść mieli odrazu na pułkowników lejb-gwardyi, dziewczęta zaś, po włożeniu długich sukienek — dostać za mężów półudzielnych książąt bawarskich. Nad przyszłością rzeczywistą najmniej się zastanawiała matka rodziny — pani Karolina, która czerpiąc obficie z zawsze otwartej kieszeni mężowskiej, wspaniałomyślnie pozwalała na to, „by ją uwielbiano, by jej dogadzano i by ją życie unosiło na fali leniwej, pełnej blasków, a kołyszącej do bezmyślnego szczęścia.“ Szczególnie w ostatnich latach życie Stamarskich przybrało wygląd wspaniały i wykwintny, z powodu ich córki najstarszej, Aliny, pieszczotki kochającego ojca i chluby ubóstwiającej matki. „Od chwili, gdy dziewczyna w świat wprowadzoną została, wszystkie myśli rodziców dokoła niej się obracały. Matce byłoby się wydawało zbrodnią pozbawić ją jednego balu, jednego koncertu, spaceru, podróży; żadne przedstawienie lub zabawa nie mogły się obyć bez pań Stamarskich.“

Taki jest początek powieści, tytuł zaś jej zawczasu wskazał, z czego się składać będzie środek. Grom padł nie z pogodnego nieba. Stamarscy sprzedają najpierw konie i powóz, przenoszą się następnie na skromniejsze mieszkanie, wreszcie wyprawiają Alinę „na służbę.“ Traf ślepy, który u nas

---

czenniczek,“ Wiera, zacząwzzy czytać, tak się zachwyciła tą książką, że wyprosiła są sobie u Niani i czytała całemi godzinami.

— Dlaczego nie urodziłam się wtedy w owych czasach? — myślała często z żalem,

Owego wieczora w wilię, gdy w duszy swej uczyniła ślub, że całe życie poświęci Bogu, spotkało ją coś nadzwyczajnego: siedziała wieczorem sama w pokoju, gdzie dawniej odbierała lekcye, wzrok jej padł na stary numer „Gazety dla dzieci“ którą dawniej prenumerowano dla jej sióstr. Z nudów zaczęła ją przerzucać i otwarła na wzruszającą opowieść o trzech misyonarzach w Chinach, spalonych przez pogan na stosie.

— W Chinach są jeszcze poganie? — pomyślała — tam można jeszcze dziś zasłużyć na koronę męczeńską. Boże, Ty sam wskazujesz mi drogę i wzywasz mnie do bohaterskiego czynu.

We wzruszeniu i ekstazie rzuciła sie Wiera na kolana W tym przypadku, że ten stary numer właśnie dziś wpadł jej w ręke na jej gorące modły, widziała niewątpliwie potwierdzenie boskiej opatrzności. Od tego dnia los jej był postanowiony. Wszystkie jej sny i marzenia przybrały pewną określoną formę. Wszystko, co Chin dotyczy, interesuje ją żywo, a gdy przypadkiem przy stole padnie jakieś słowo o tym kraju, rumieni się silnie. Tylko jednej rzeczy lęka się Wiera, żeby Chiny nie zostały nawrócone, nim ona dorośnie.

* * *

IV.

Dom Barancowów stał na wzniesieniu. Z północy spływał pagórek do stawu, wykopanego, rozumie się, przez chłopów. Tu był ogród w stylu wersalskim z małemi prostemi ścieżkami, wysypanemi żwirem, z bukietami kwiatów w formie serc, lub waz, z altankami brzozowemi, jaśminowemi i bzowemi, Dawniej mógłby ogród ten zachwycić każdego miłośnika sztucznie przystrzyżonej natury, ale dziś, gdy miejsce dawnego artysty-ogrodnika, któremu usługiwał cały sztab pomocników, zajmował się ogrodem chłop samouk i dwaj chłopcy — ogród przedstawiał smutny nędzny widok. Staw był zanieczyszczony i służył za mieszkanie niezliczonym rojom komarów, altanki groziły upadkiem, ścieżki zarastały trawą.

Niema nic smutniejszego, jak widok niepielęgnowanych strzyżonych altanek. Zato na drugiej stronie — nie od frontu — tam, gdzie sztuka mniej się wysiliła, tam było jeszcze teraz bardzo pięknie. Do domu przytykał lasek dębowy za którym góra stromo spadała ku potokowi. Potok szumiał i pienił się, gdy woda stała wysoko, w czasie posuchy stawał się piaszczystym rowem, na dnie którego sączyła się cienka, wąziuchna żyłka wody. Cały stok porosły był krzakami, na wiosnę oblany był wonnem, białem kwieciem, jak mlekiem, a dokoła rozbrzmiewały pieśni przepiórek, czyżyków i innych drobnych ptaków, czasami przelatywały także słowiki; w jesieni było mnóstwo orzechów laskowych i dzikich malin; w zimie zbierały się tam tak wiele śniegu, że stok tworzył białą jednolitą masę, z której tu i owdzie sterczały czarne gałęzie wierzby.

Wzgórzem tem kończyła się posiadłość Barancowów. Na przeciwległym brzegu strumyka rozciągały się dobra Stefana Michałowicza Wasylcowa. Ten nie mieszkał w swoich dobrach, jego jednopiętrowy dom stał tu samotny i pusty z zaryglowanemi drzwiami i okiennicami, a zapuszczony ogród zamienił się w zieloną cienistą pustynię, zarosłą bluszczem, jaskrami, dzwonkami i gwoździkami. O Wasylcewie opowiadano, że jest uczonym człowiekiem, w zimie mieszkał w Petersburgu, gdzie był profesorem technologicznego instytutu, na lato wyjeżdżał zwykle zagranicę i zapomniał, zdaje się, o swem niewielkiem dziedzictwie. Ale tej pamiętnej zimy zatrzymały się jednego dnia, przed domem Wasylcewa, sanki pocztowe; w saniach siedzieli dwaj żandarmi, a między nimi Wasylcew.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



najpunktualniej wspiera niedołęztwo, ospałość próżniactwo wytworne, przenosi Alinę na skrzydłach pary pod Oszmianę, do zamożnego ziemiańskiego domu Skierków czy Oskierków, w którym milioner Prędowicz po stracie żony umieścił przy babce nieletnią swą córeczkę Miecię, na wychowanie; panna Stamarska obejmuje przy niej obowiązek guwernantki z płacą roczną 2 tysięcy rubli, co jej pozwoli w kraju tym jeszcze niemal barbarzyńskim powtórzyć cywilizacyjną rolę Jadwigi Piastowiczówny. I rzeczywiście, już na str. 126 tomu I-go dowiadujemy się, że między nią, a młodym dziedzicem z pod Oszmiany, Juliuszem Oskierką, „powstaje coś, jak węzeł wzajemnej sympatyi.“ O trzy kartki dalej znajdujemy taki dyalog:

Alina. Możemy teraz być przyjaciółmi. Ja pana nigdy nie wezmę za konkurenta, pan mnie nigdy za kokietkę...

Juliusz. I staje między nami przymierze zaczepne i odporne, które się wzmacniać będzie, jeżeli przy bliższem poznaniu przyjaźń i szacunek nasz wzajemny wzrastać będzie...

Alina. I przynajmniej raz w życiu dwoje młodych ludzi, żyjących pod jednym dachem, nie będzie miało na myśli tego banalnego zakończenia wszystkich kwestyi: miłości i małżeństwa. Będziemy w takiej przyjaźni, jak gdybym nie była tą nieszczęśliwą panną na wydaniu, ale naprzykład chłopcem. Będzie to dla mnie prawdziwa rozkosz raz przecie nie widzieć prawdopodobnego konkurenta w młodym człowieku, który szuka mego towarzystwa...

Juliusz. Będzie mi, co prawda, nieco trudno wystawić sobie, że pani jest chłopcem, ale nawet bez tego wysiłku wyobraźni i widząc w pani młodą pannę, będę się czuł zupełnie swobodnym. Wiem, że pani pewno już nieraz wzbudziła w mężczyźnie silniejsze uczucie, że je pani pewno nieraz jeszcze wzbudzi, ale ja panią nie pokocham, bo sobie na to nie pozwolę w żadnym razie i nigdy... Ludzie sądzą o życiu wedle literackiej, powieściowej egzaltacyi, przeznaczając miłości pierwszą rolę... Co do mnie, nie jestem ani salonowy, ani zręczny, i pani pewno nie jednego przyjemniejszego odemnie widziała... A więc, panno Alino, będziemy rozmawiali, będziemy śpiewali, będziemy opowiadali... itd. — do str. 136.

Wnosićby z tego należało, że opowiadanie trzymane jest w tonie humorystycznym; ale nie, — rozmowy w tym guście prowadzone są wszędzie na seryo, obejmują po pięć, po dziesięć, po piętnaście stronnic, a ciągną się przez cały tom pierwszy i przez cały drugi — do samego końca. Na str. 139 tomu pierwszego Alina oznajmia Juliuszowi: „wszak ja nie mówię, że nie poszłabym za mąż: poszłabym prawdopodobnie, gdyby mię chciał za żonę taki, coby mi się podobał.“ Na str. 158, Juliusz, ze swojej strony, wyznaje przed sobą, że, „życie miał dotąd ciężkie i mozolne, teraz zaś, poczuwszy pierwszy gorący płomień miłości dla Aliny, zapytywał siebie, po co była cała ta praca. jeżeli się nie posiadało szczęścia.“ Na str. 167 opadają go skrupuły: ‚czy też Alina mogłaby go pokochać?.. sam on jest silny, on zniesie i wytrzyma, ale ta dziewczyna, która uczuciom swoim oddawała się z taką egzaltacyą, — coby z jej sercem uczyniła miłość nieszczęśliwa?...“ Tymczasem Alina, dopiero na str. 9 tomu II-go zaczyna powoli się domyślać przyczyny cierpień oszmiańskiego Wertera, chociaż już w tomie I-ym od str. 126 te źródło zobopólnych westchnień każdodziennie zwiedzała i szeroko nad niemi się rozwodziła. Nie przestaje przecież wciąż siebie badać i wypytywać w skromności swej dziewiczej i siostrzanej: „Czemu on cierpi? co go boli, co przygnębia? — „i w usposobieniu swem, tak skłonnem do litości, chciałaby była tego przyjaciela zapytać, co mu było, chciałaby była wziąć go za rękę, wyprowadzić go do ogrodu i tam wśród poczciwych, dyskretnych lip zapytać: co ci jest, powiedz mi dlaczego jesteś smutny? — a onby jej odpowiedział szczerze, bo odczułby w niej życzliwość gorącą i chęć przyniesienia ulgi współczuciem.“ Na str. 58 tegoż II-go tomu mamy obrazek. Matka Juliusza Skierki, surowa, poważna, sprężysta gospodyni domu spostrzegła pewnego dżdżystego dnia Alinę stojącą na stołku, ukrytą między płaszcze od kurzu wiszące w przedpokoju. Dziewczyna zdradziła się niebieską wstążką, której brzeg pozostał nieschowany. — Co to znaczy? — spytała Skierczyna. — Bawimy się z Miecią w chowanego: ona mię szuka w drugim końcu domu, a ja tu uciekłam...“ Niebawem atoli okazuje się, że i Juliusz nauczył się grać w chowanego. Dawniej gniewało go to, gdy Alinę spotkał w towarzystwie Mieci, obecnie brał dziecko na kolana, zaczynał poznawać je i lubić, wyrzucał sobie, że córka jedynej jego siostry (nieboszczki Prędowiczowej) była mu niegdyś obojętną, teraz zaś, ilekroć obie je — Miecię i Alinę — spotykał w polu, namawiał je, by szły z nim razem, bo tym sposobem, trzymając Miecię za rękę, mógł rozmawiać z Aliną swobodnie i spokojnie (61)... I wleką się te rozmowy, wleką, wleką...

Istnieją przeszkody, to prawda. Juliusz ma narzeczoną — Kocię, przytem milioner Prędowicz, ojciec Mieci, oświadcza się o rękę Aliny: obok tego ceny na zboże spadają, interesy majątkowe w energicznej dłoni pani Skierkowej (czy też poprawniej: Skierczynej), wikłają się, Juliusz podupada na duchu, powstają plotki, stary Skierka gra w karty, wyprawia awantury, rzuca się ze szczyzorykiem na żonę, obala ją na posadzkę, zadaje jej ciosy. Alina opuszcza służbę, wraca do rodziców, — raz do Warszawy, drugi raz do Rygi, gdzie Stamarscy znaleźli zyskowniejszą jakąś posadę. Z Kocią Juliusz zrywa, Prędowicz dostaje czarną polewkę, Skierczyna jedzie do Rygi po Alinę, przy której wierci się nowy konkurent — także zdaje się milioner — Adaś Poraj. Rozmowa... Tym razem rozmowa Skierczynej z Aliną, na str. 214 tomu IIgo.

— Alinko! zawołała matka Juliusza. — On potrzebuje ratunku, którego mu stara matka dać nie zdoła, a który dać mu możesz ty tylko jedna!

(Oczywiście Alina ani w ząb nie rozumiała o co chodzi).

— Ratunku?... Cóż się stało, pani?

— Powiem ci zaraz, i ty będziesz miała litość nad nim i nademną! Nie odmówisz mi!

— Jeżeli o ratunek chodzi... Ale co ja uczynić mogę?

— Słuchaj! On ciebie kocha i od twego wyjazdu tęsknił, rozpaczał, walczył sam z sobą... Miał nawet myśl samobójstwa... i nie wiem, czy jej jeszcze nie miewa chwilami... On mego nieszczęśliwego brata często przypomina, a brat mój umarł z melancholii... Ale teraz stała się rzecz najgorsza. Obudziła się w nim nagle namiętność ojcowska... pewno z rozpaczy i z braku nadziei .. Zaczął grać w karty... sama widziałam... czyniłam mu uwagi, ale on ich nie przyjął...

(I matka ćwiczy w ten sposób z kwadrans, a dziewczyna ani mrugnie, — dopiero, gdy przemówienie się skończyło) —

— O Boże! — zawołała Alina — co się z nim stało? On taki dobry syn! Wszak dawniej był tak pełen przywiązania, tak pełen uszanowania!

...Mniemacie, że to już koniec? — Wcale nie. Jest jeszcze stronic 42. Jest najpierw rozmowa o tem, j a k Juliusza ratować? później, c z e m go ratować? później, k i e d y go ratować? a nawet, c z y ratować?... Oto na str. 229 Alina wchodzi do pokoju nieprzytomnego prawie Juliusza, a on ją odpycha...

— Odejdę, jeżeli pan chce — rzekła Alina — ale nie rozumiem pana. Przyszłam powiedzieć, że cierpię wraz z panem, tak jak pan... Czy to nic nie znaczy?... Niech pan usiądzie, pan jest cały drżący od zmęczenia... Zaraz odejdę... Pamięta pan, jak mię pan niegdyś wezwał w chwili podobnej?... Wtedy nie byłam panu ciężarem jak dzisiaj! Gdyby pan wiedział, jak jabym pragnęła wziąć na siebie połowę trosk pana!.! Dlaczego pan chce, bym odeszła?.. Niegdyś pan mię nazwał siostrą... Nie śmiałabym tego przypomnieć szczęśliwemu, ale dziś... przyszłam tu jak siostra...

Ma się rozumieć, kurtyna nie zapada jeszcze. Matka Juliusza chora, dogorywa. Nagle, na stronie 256, do pokoju syna wpada Alinka...

— Żyje! żyć będzie! — woła. — Gorączka spadła spadła, oddech łatwiejszy... Żyć będzie! Doktorzy mówią...

Juliusz stał przed nią, upojony jeszcze snem i naraz stało się coś, czego nie przewidział ani on, ani ona. Otworzył ramiona, a radość z uzdrowienia Skierczyny rzuciła w nie Alinę... Jego objęcia zamknęły się. Długi uścisk ich połączył. On ogarniał ją ramionami, ona tuliła się do niego. Płakali oboje ze szczęścia. Przez długą chwilę uścisk ich wydawał się czemś naturalnem, dopiero szelest jakichś kroków sprawił... że ramiona jego opadły, a ona, płonąca od wstydu, stanęła ze spuszczonemi oczyma. Serce jej biło jak młotem, oddychała spiesznie, w głowie jej szumiało, w oczach zrobiło się ciemno...

Lekarz przyszedł zawołać Juliusza do chorej... Ale co się przewlecze, to nie ucieczce. Na str. 253 Juliusz wchodzi i widzi Alinę na klęczkach... Rodzi się w nim chęć powtórzenia poprzedniej sceny — to jest wyciągnięcia znowu rąk ku niej... Rozmowa:

— Jeżeli mi pani powie, że to był uścisk siostry, ja temu odrazu uwierzę, ja to zrozumiem. Przyszedłem, żeby panią uspokoić...

Alina zasłoniła twarz rękami.

— Ja nie chcę kłamać! — zawołała — Nie wiem co się stało! Przyrzekłam być aniołem-stróżem, a teraz czuję...

Łzy zabłysły w jej oczach.

Nie kochałam pana.. doprawdy tylko jak brata! Ale gdy się czyją duszę weźmie w opiekę, to się ją musi pokochać silniej! Niewiem kiedy się to stało.. dopiero teraz widzę, że to już od jakiegoś czasu było we mnie...

Pr.

⁂

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VIII.

(Jeszcze słówko o rzeźbie. — Nowe obrazki. — Muzyka i kobiety).

W sferze artyzmu znękany duch wypoczywa, — darujcie tedy Czytelnicy, że Was jeszcze zatrzymam przez chwilę w lwowskiem salonie sztuki, lubo już korespondencyę poprzednią wyłącznie tym tematem wypełniłam. Głównym zaś z tej powodów tautologii jest fakt, świeżo skonstatowany, a dla miłośników sztuki arcymiły: Oto wspomniana już poprzednio rzeźbiarka, panna Dąbrowska umieściła w salonie pokaźną liczbę prac nowych, posiadających wybitne znamiona rozkwitającego talentu. Nadesłanemi rzeźbami wysunęła się p. Dąbrowska odrazu na wy-

żyny artystyczne, jako najwybitniejsza rzeźbiarka w Galicyi. Przeglądnijmy kolejno jej dzieła. U wstępu do salonu, naturalnej wielkości popiersie hr. Henryka Skarbka, kuratora fundacyi drohowyzkiej i teatralnego gmachu, zwraca ogólną uwagę, a zwraca ją świetnością wykonania, subtelnością dłuta; podobieństwo pozostawia niewątpliwie nieco do życzenia, lecz wina to po części szczególniejszej fizyognomii modelu: wyraz jej zmienia się bezustannie: apatyczna, skrzywiona, drwiąca itp., prawie nigdy pogodna, spokojna tym spokojem, który w harmonii władz duchowych ma źródło swoje. Lepszym jest biust pana H. — lepszym co do podobieństwa, ale pod względem wykonania przewyższa go portret hr. Skarbka. Świetne jest również studyum p. Dąbrowskiej, przedstawiające biust wieśniaczki; twarz jowialna, typ humoru i zdrowia chłopskiego, strój narodowy, malowniczy, niepozbawiony odrobiny pretensyi. Kokieterya stroju odpowiada takiemuż lekkiemu odcieniowi kokieteryi w ufryzowaniu, w uśmiechu zalotnym, w wystawieniu perlistych ząbków. Uchwyciła to z natury rzeźbiarka wybornie. Szereg prac p. Dąbrowskiej zamyka niewielki biuścik murzyńskiego dzieciaka, wykonany z terracoty (inne rzeźby są z gipsu.) Murzynek ten śmieje się z całą swobodą dziecka, zwłaszcza dziecka społeczeństwa, nie znającego newrozy, przecywilizowania i przeestetyzowania! Ten uśmiech wymowny nadaje rzeźbie cechę prawdy i niesie z sobą ożywienie, które jest przymiotem wszystkich rzeźb p. Dąbrowskiej. Stoi tedy w dziedzinie rzeźby na takiem stanowisku, na jakiem Pająkówna w dziedzinie malarstwa.

Ale jeszcze słówko *à propos* p. Pająkówny. W ostatnich dniach pojawił się na wystawie jej obraz p. n. „Modlitwa“. Przedstawia on Chrystusa modlącego się. „Modlitwa“ Pająkówny nie jest wszakże zwykłem odmawianiem pacierzy, to raczej zaprzeszczenie wzroku ducha w daleką przyszłość i kontemplacya. (Twarz Chrystusa, jest twarzą mądrości, pracy myśli, zagłębiania się, cierpienia i trudu. A kto wie, czy tego ostatniego nie najwięcej. Blasku boskości, aureoli świetlanej nadziemskości Chrystus p. Anieli Pająkównej nie posiada. Zapatrzony w przestrzeń i smutny; odziany w białą szatę a przez jedno ramię zwiesza mu się płaszcz barwy fioletowej, od refleksu światła w różową barwę przechodzącą. Tło poraz pierwszy dała p. Pająkówna impresyonistyczne. Charakter obrazu zdradza sporą dozę realizmu.

I jeszcze słówko dodać musimy o nowej malarce, pannie Zofii Brühl, która nie maluje na razie nic, prócz owoców: więc jest kolekcya różnych gatunków pomarańcz, ugrupowanych na tacy, jest także i druga kolekcya cytryn; barwy nie pozostawiają nic do życzenia, a przekroje są dziwnie łudzące. Nie umiem ocenić tego rodzaju malarstwa inaczej, jak tylko zarzutem, iż pominąwszy wszystkich technicznych zalet, jest ono za drobiazgowe, za poziome i bezmyślne. Niezawodnie, jeźli mamy specyalistę od malowania koni, możemy mieć i specyalistkę od malowania cytryn i pomarańcz, lecz zauważyć trzeba, że Kossak maluje obok koni także ludzi działających i myślących, a jakkolwiek we Francyi pani Rosa Bonheur zdobyła sobie wielką sławę i medal złoty malowaniem jedynie zwierząt, to ja przynajmniej do tego rodzaju sztuki przekonać się nie mogę.

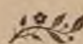
Tyle o malarstwie i rzeźbie. Przechodzę z porządku rzeczy do muzyki. Lwia część muzyki u nas należy do kobiet. One przeważają po szkołach muzycznych, na pensyach, w udzielaniu lekcyi prywatnych, zwłaszcza, jeśli chodzi o tak brutalny instrument jak fortepian. Nauczycieli gry na fortepianie mamy stosunkowo mniej; za to inne instrumenty jak skrzypce, flet, bas, obój, wiolonczellę, cytrę opanowali, stósownie poniekąd do natury samych instrumentów, mężczyźni. Jakkolwiek spotyka się tu i owdzie kobiety grające na skrzypcach i cytrze, to już kobieta, grająca na wiolonczeli, basie, flecie, klarnecie, byłaby, u nas zwłaszcza, fenomenem. Pomiędzy kobietami uprawiającemi z zamiłowaniem muzykę, i to nie jako akcesoryum życia prywatnego, ale jako sztukę, spotyka się obok odznaczonej w konserwatoryum paryskiem pianistki Heleny Krzyżanowskiej, głównie nazwiska nauczycielek konserwatoryum towarzystwa muzycznego, szkoły Mikulego, oraz szkoły Marka we Lwowie. Trzy te instytucye odbyły właśnie doroczne popisy, na których uczennice, odznaczające się biegłością gry, pilnością i zdolnościami otrzymały medale lub listy pochwalne. Pomiędzy nauczycielkami dobrze zasłużonej sławy używają: pani Kozłowska, nauczycielka gry na fortepianie, p. Thotowa, Zellingerowna, Maliszowa, Brzechowska i t. d. W szkole Mikulego najwybitniejsze uzdolnieniem są nauczycielki: panna Setmajerówna, pani Latour i Łuczkiewiczowa. Prócz tych są jeszcze odrębne szkoły gry na fortepianie: pani Jadwigi Duninowej, Słomkowskiej, Markiewiczowej, Ostrowskiej i Kościeleckiej. Szkołą śpiewu w Lutni kieruje panna Stróżecka, zresztą oddziały inne mają kierowników mężczyzn. Jako wiolinistki znane są u nas panny Podgórskie, które zresztą zna i zagranica z koncertów smyczkowych — oraz p. Daczkowska-Loeblowa. Kraków ma także towarzystwo muzyczne, i wybitne siły kobiece w zakresie muzyki, a obecnie nawet polską posiada operę. W gronie artystek operowych wyróżnia się pani Kruszelnicka, której gra i wyraźna deklamacya są uderzająco piękne, głos jednakże, pomimo, iż znać w nim dobrą szkołę, w wysokich tonach nie ma potrzebnej śmiałości i swobody. W operze i operetce występuje tam obecnie młodziutka adeptka sztuki, panna Broccard, której pewne koła wróżą wielką przyszłość; dziś jednak jeszcze głos artystki jest niewyrobiony, trochę za słaby, a główną jego wadą w wysokich tonach częste *tremolando*. Spotykałam nieraz podobne głosy jak p. Broccard, jedne ginęły w powodzi coraz to nowych debiutów, inne wybijały się na pierwszy plan. Do takich np. należy pani Malinowska, która karyerę swą rozpoczęła we Lwowie, a następnie wyjechała zagranicę, gdzie ją bardzo życzliwie, równie jak u nas, przyjmowano, i gdzie dotychczas zbiera wawrzyny. W czasie jej występów, zwłaszcza po sukcesie w „*Hugenotach*“, powtarzała sobie prasa następujący czterowiersz:

„Po cóż nam tych przedartych, zbrakowanych gości,
„Gdy nam śpiewaków naszych cały świat zazdrości?
„Zdołaż do nas przemówić obca zgraja włoska
„Jak serdeczny Myszuga albo Malinowska?

I nie była to frazeologia!

Wiele w przyszłości obiecuje głos panny Janiny Koralewiczówny; najlepsi znawcy i zamiłowani muzycy uznali głos ten za fenomenalny; kształci się jeszcze ciągle, a niebawem, prawdopodobnie w zimowym sezonie operowym, usłyszy ją publiczność lwowska. Z dotychczasowych sił opery tutejszej trudno zachwycać się śpiewem pani Kasprowiczowej, której głos średniej wartości ma wyborną, co prawda, rutynę, ale deklamacya jest nie polska. Porywała niegdyś swym śpiewem pani Skalska, lecz dziś, niewiadomo czemu, prawdopodobnie dla jakiegoś widzimisię zarządu teatralnego, usuniętą została na plan ostatni, jakkolwiek należałoby się jej jedno z pierwszych miejsc. Miły, aczkolwiek nie wielki, głos posiada ulubiona śpiewaczka operetkowa, pani Radwan; prowincya dostarcza nader małego kontyngensu talentów, nie obrażając miasta Bolechowa, z którego podobno pochodzi pani Sembrich-Kochańska, władająca potężnym i czarującym głosem.

J. Aleksota.





Wspomnienia o Karolu Marksie.*)

Gdym w roku 1847 wyruszał w podróż do Europy, dał mi jeden z moich znajomych, obywatel ziemski z gubernii stepowych, list polecający do Karola Marksa. Znajomy mój cieszył się w swojem otoczeniu sławą doskonałego śpiewaka cygańskich piosnek, dobrego gracza i wytrawnego myśliwego. Jak się okazało, był on w najlepszych stosunkach z nauczycielem Lassala i przyszłym wodzem Międzynarodówki. Zapewniał on Marksa, że jest duszą i ciałem oddany jego wzniosłej nauce, idei przekształcenia stosunków ekonomicznych Europy, że wraca do Rosyi z zamiarem sprzedania swoich dóbr i poświęcenia całego majątku na rzecz zbliżającej się rewolucyi. Iść dalej w ofiarności chyba nie można! Jestem też przekonany, że ów obywatel w chwili, gdy dawał te obietnice, sam święcie w nie wierzył. Ale powróciwszy do Rosyi, naprzód do swoich dóbr, później do Moskwy, oczywiście nie myślał więcej o entuzyastycznych przyrzeczeniach; umarł on niedawno w Moskwie, jako stary, ale pełen jeszcze ognia kawaler. Doprawdy nic dziwnego, że po tego rodzaju doświadczeniach zarówno u Marksa, jak i u innych na długie lata utrwaliło się przekonanie, że każdy rosyanin, który się do nich zbliża, musi to być albo szpieg, albo nieczny oszust.

Skorzystałem z rekomendacyi mego ognistego szlachcica, który wówczas jeszcze był w entuzyastycznym nastroju i zostałem przez Marksa przyjęty bardzo uprzejmie. Marks był wtedy w Brukselli jeszcze pod wrażeniem wspomnień o owym klasycznym przedstawicielu „szerokiej rosyjskiej natury“, z którym się poznał zupełnie przypadkowo; mówił o nim z wielkiem zajęciem i, jak mi się zdaje, upatrywał w tem nowem dla niego zjawisku objaw niesfałszowanej siły rosyjskiego narodu.

Marks przedstawiał sobą typ człowieka, na który składała się energia, siła woli i niewzruszone przekonanie, typ w najwyższym stopniu ciekawy nawet ze strony zewnętrznej. Gęstwina czarnych włosów na głowie, ręce porośnięte włosami, surdut źle zapięty; miał jednak wygląd człowieka, który umie nakazać szacunek, jakkolwiek dziwnym mógł się wygląd jego zdawać. Ruchy jego były niezgrabne, ale śmiałe i pewne siebie; maniery przeczyły wszelkim regułom uświęconego *comme-il-faut*. Ale nosiły na sobie piętno dumy z lekką domieszką pogardy; jego silny głos o metalicznym dźwięku doskonale harmonizował z radykalnemi poglądami na świat i ludzi, które wypowiadał. Nie mówił inaczej jak w rozkazujących, nie znoszących oporu słowach, które jeszcze bardziej zaostrzał ton, przenikający wszy-

*) Artykuł powyższy Rosyanina M. Annenkowa podajemy w przekładzie krakowskiej „Krytyki“.

stko, co mówił, a we mnie budzący prawie bolesne wrażenie. Ton jego wyrażał silne przekonanie o jego misyi kierowania ludźmi i przepisywania im praw. Zdawało mi się, że widzę przed sobą wcielenie demokratycznego dyktatora, jakie wymarzyć sobie może fantazya.

Zaraz przy pierwszem spotkaniu zaprosił mnie Marks na świadka rozmowy, która miała się odbyć nazajutrz pomiędzy nim a krawcem Weitlingiem, przywódcą dość znacznej partyi robotniczej w Niemczech. Rozmowa ta miała na celu porozumienie się — jeśli to będzie możliwe — przywódców ruchu robotniczego co do wspólnej taktyki. Naturalnie nie wahałem się ani chwili z przyjęciem zaproszenia.

Krawiec Weitling był to przystojny, młody blondyn, w nieco kuso skrojonym surducie, z kokieteryjnie ostrzyżoną bródką; wyglądał on raczej na komiwojażera, niż na posępnego, zgorzkniałego, ciężarem pracy i myśli przygnębionego robotnika, jak go sobie wyobrażałem.

Gdyśmy się sobie przedstawili, — co Weitling uczynił z pewną wyszukaną grzecznością — zasiedliśmy przy małym, zielonym stoliku. Marks usiadł przy wąskim końcu, z ołówkiem w ręku, pochyliwszy swą lwią głowę nad arkuszem papieru, podczas gdy jego nierozłączny przyjaciel i współpracownik, wysoki, wyprostowany, po dżentelmeńsku poważny Engels otworzył posiedzenie. W przemówieniu swem wskazał on na to, jak konieczną jest rzeczą, by ludzie, którzy poświęcają się reformie pracy, wyjaśnili sobie wzajemnie poglądy i ułożyli program, który mógłby posłużyć za sztandar wszystkim towarzyszom, nie mającym czasu lub możności zajmowania się teoretycznemi kwestyami. Jeszcze Engels nie skończył, gdy Marks podniósł głowę i zwrócił się wprost do Weitlinga:

„Powiedzcie nam, Weitlig, wy, coście swą komunistyczną propagandą tyle hałasu narobili w Niemczech i przyciągnęli tylu robotników, pozbawiając ich zajęcia i chleba — powiedzcież nam, jakiemi argumentami bronicie swej socyalnej-rewolucyjnej agitacyi i na czem myślicie ją oprzeć w przyszłości"?

Przypominam sobie zupełnie dokładnie nawet formę, w której było postawione to ostre pytanie. Rozpoczęła się w naszem małem kółku namiętna dyskusya, która jednakże, jak się okaże, nie długo trwała.

Weitling chciał widocznie utrzymać rozmowę na torze ładnych frazesów. Z poważnym, nieco zakłopotanym wyrazem twarzy począł on wywodzić, że jego zadaniem nie jest tworzenie nowych ekonomicznych teoryi, lecz tylko rozwijanie tych, ktore, jak się okazało we Francyi, najłatwiej mogą robotnikom otworzyć oczy, nauczyć ich, że nie należy wierzyć żadnym obietnicom, lecz liczyć tylko na siebie samych.

Mówił on długo, ale ku memu zdziwieniu, w przeciwieństwie do Engelsa, niejasno i zawile, często się powtarzając, poprawiając, z trudnością zdążając do wniosków, które przychodziły albo za późno albo też wyprzedzały przesłanki. Miał on teraz innych słuchaczy, jak ci, którzy otaczali go w warsztacie lub czytali jego pisma i różne pamflety: to też stracił zwobodę myśli i wysłowienia.

Prawdopodobnie mówiłby jeszcze dłużej, gdyby Marks z gniewnie ściągniętemi brwiami nie przerwał mu i nie rozpoczął swej odpowiedzi. Treścią jego sarkastycznych wywodów było, że jest to poprostu oszustwo poruszać lud, nie dając mu trwałych podstaw dla jego działalności. Budzenie fantastycznych nadziei, o których była właśnie mowa, — ciągnął Marks dalej, — nigdy nie prowadzi do wyzwolenia cierpiących, lecz tylko do ich zguby. Zwłaszcza w Niemczech zwracać się do robotników bez ściśle naukowych idei i konkretnego programu znaczy to w lekkomyślny, niesumienny sposób bawić się w propagandę: z jednej strony natchniony apostoł, z drugiej gromada osłów, słuchających z rozdziawionemi gębami. Oto mamy między sobą, mówił Marks, szybkiem poruszeniem ręki na mnie wskazując, — mamy między sobą rosyanina. W jego kraju, Weitling, wasza rola byłaby może na miejscu, tam rzeczywiście można skutecznie zakładać związki, złożone z niedorzecznych apostołów i równie niedorzecznych uczniów. W kraju cywilizowanym, jak Niemcy, bez wyraźnego, konkretnego programu nie można nic zrobić i nic się jeszcze nie zrobiło prócz hałasu, szkodliwego podniecenia i gubienia samej prawy.

Blada twarz Weitlinga pokryła się rumieńcem — a mowie wróciła łatwość i ożywienie. Drżącym ze wzruszenia głosem zaczął dowodzić, że człowiek który skupił naokoło siebie setki w imię idei sprawiedliwości, solidarności i braterstwa, nie zasługuje na nazwę pustego i nic nie znaczącego, że on Weitling, wobec tych napaści pociesza się setkami listów, oświadczeń, które otrzymuje ze wszystkich zakątków kraju, a które zgodnie wyrażają mu wdzięczność, że może jego skromna przygotowawcza praca więcej ma znaczenia od naukowej krytyki i gabinetowej analizy, zdala od cierpień i potrzeb ludu rozwijanej.

Przy ostatnich słowach Marks, pełen gniewu, uderzył pięścią w stół tak silnie, że stojąca na nim lampa zadrżała, i podnosząc się zawołał:

„Ciemnota nikomu jeszcze nie przyniosła korzyści!"

Poszliśmy za jego przykładem i wstaliśmy. Rozmowa była skończona i podczas gdy Marks w niezwykłem gniewnem podnieceniu chodził po pokoju, szybko się pożegnałem i wyszedłem, zdziwiony tem wszystkiem, co widziałem i słyszałem.

Stosunki moje z Marksem nie przerwały się z wyjazdem moim z Bruksselli. Spotkałem się z nim i Engelsem raz jeszcze w r. 1848 w Paryżu, dokąd obaj przybyli zaraz po rewolucyi lutowej w zamiarze studyowania francuzkiego socyalizmu, który teraz zyskał zupełną swobodę ruchu. Wkrótce wszakże porzucili ten zamiar, gdyż socyalizm ten zupełnie opanowany został przez kwestye polityczne czysto miejscowej natury, i miał już swój gotowy program, od którego odwieść się nie dawał — program wywalczenia dla klasy robotniczej z bronią w ręku dominującego stanowiska w państwie.

Ale jeszcze przedtem dłuższy czas prowadziłem z Marksem poufną — dla mnie niezmiernie ciekawą korespondencyę. Tak np. z powodu znanej książki Proudhona „Le systéme des Contradictions economiques" (System sprzeczności ekonomicznych) napisał mi Marks długi list po francuzku, gdzie rozwinął swoje poglądy na teorye Proudhona. List ten niezmiernie jest ciekawy. Jego znaczenie określają dwie cechy: po pierwsze krytyka twierdzeń prudhonowskich, która zawiera w sobie wszystkie zarzuty, później przeciwko nim kierowane, powtóre zupełnie nowy pogląd na znaczenie ekonomicznej historyi społeczeństwa. Marks jeden z pierwszych rozwinął zasadę, że formy polityczne i wogóle całe życie społeczne, moralność, filozofia, sztuka i nauka, są tylko rezultatem stosunków ekonomicznych, i że ze zmianą tych ostatnich zmieniają się, nawet znikają formy polityczne i społeczne. To też poznanie i wyjaśnienie praw, kierujących zmianami w ekonomicznych stosunkach, jest rzeczą największej wagi. Ale w antynomiach (sprzecznościach) Proudhona, w jego przeciwstawianiu zjawisk ekonomicznych — zupełnie dowolnem i nie opartem na historycznym ich przebiegu, — w antynomiach tych upatrywał Marks tendencyę autora, by uspokoić sumienie burżuazyi sprowadzaniem przykrych faktów rzeczywistości do niewinnych abstrakcyj à la Hegel. Dlatego też nazwał on Proudhona teologiem socyalizmu i przedstawicielem drobnomieszczaństwa. Podaję tu w dosłownem tłomaczeniu koniec listu, gdyż może on posłużyć za komentarz do wyżej opisanej sceny i za klucz do jej zrozumienia.

„W jednej tylko rzeczy zgadzam się z p. Proudhonem, mianowicie w jego nienawiści do czułostkowości socyalistycznej. Jeszcze pierwej niż on, zyskałem sobie mnóstwo wrogów z powodu drwin z utopijnego czułostkowo-baraniego socyalizmu (socialisme moutonnier). Ale pan Proudhon myli się w najdziwniejszy sposób, chcąc jeden rodzaj sentymentalizmu zastąpić przez drugi, przez sentymentalizm drobnomieszczaństwa z jego deklamacyami o świętości domowego ogniska, o miłości małżeńskiej i tym podobnych pięknych rzeczach — przez sentymentalizm, który w dodatku wyrażony jest u Furiera daleko głębiej, niż w banaluych frazesach cnego Proudhona. Zresztą on sam czuje, że niezdolny jest do rozumowania o tych kwestyach, gdyż wpada przy tem w nieopisany gniew, w patos i oburzenie uczciwej duszy. Pieni się, rzuca, oskarża, krzyczy o hańbie i korupcyi, bije się w piersi i wzywa Boga i ludzi na świadków, że nie ma nic wspólnego z okropnościami socyalistów. Nie zajmuje się krytyką ich sentymentalizmu, lecz jak istny święty lub papież wyklina nieszczęsnych grzeszników, piejąc jednocześnie hymny na cześć drobnomieszczaństwa. Cóż to jest drobnomieszczanin? W społeczeństwie rozwiniętem musi on być z jednej strony drobnomieszczańskim ekonomistą, z drugiej zaś socyalistą. Olśniewa go blask wielkiej burżuazyi, a jednocześnie przejmuje współczucie dla cierpień ludu. Jest on jednocześnie mieszczaninem i ludem. W głębi swego sumienia dumny jest ze swojej objektywności, dumny z tego, ze znalazł tajemnicę równowagi, która według niego, nie ma nic wspólnego z „juste milieu", złotym środkiem. Taki człowiek umie łączyć rzeczy najsprzeczniejsze, gdyż on sam nie jest niczem innem jeno żywą społeczną sprzecznością. Przedstawia sobą w praktyce to, czego uczy jego teorya.

P. Proudhon zasługuje na zaszczyt reprezentowania francuskiego drobnomieszczaństwa. I to jest prawdziwą zasługą. Drobnomieszczaństwo bowiem będzie niewątpliwie odgrywało znaczną rolę w przyszłych przewrotach społecznych.

Chętnie posłałbym panu wraz z tym listem moją książkę: „O ekonomii politycznej". Ale dotychczas nie mogłem znaleźć wydawcy ani na tę prace, ani na moją krytykę niemieckich filozofów i socyalistów. Nie masz pan pojęcia, jakie przy tego rodzaju wydawnictwach napotyka się trudności — zarówno ze strony policyi, jak i księgarzy, którzy właśnie są przedstawicielami zwalczanych przezemnie tendyncyj. A co się tyczy naszej partyi, to jest ona przedewszystkiem bardzo uboga, a powtóre znaczna jej część oburzona na mnie za wystąpienie przeciwko jej deklamacyom i utopiom."

Praca „o ekonomii politycznej" będzie to zapewne „Kapitał", który dopiero niedawno wyszedł*). Muszę wyznać, żem wraz z wielu innymi nie wierzył wówczas w słuszność sądu, który Marks wypowiedział o Proudhonie: oczarowany bowiem byłem, jak i znaczna część publiczności, patosem i dyalektyczną zręcznością Proudhona

*) Autor się myli: „Kapitał" jest owocem późniejszych kilkunastoletnich studyów Marksa w Britisch Museum; mowa tu zapewnie o „Nędzy filozofii" pracy polemicznej przeciwko Proudhonowi (1847).

Z powrotem moim do Rosyi w październiku 1848 r. ustały moje stosunki z Marksem i nigdy już nie zawiązały się na nowo. Czasy nadziei, mglistych tęsknot już przeszły, a praktyczna działalność, jaką Marks wybrał, tak była odległą od życia rosyjskiego, że chcąc w niem pozostać, mogłem śledzić działalność Marksa tylko zdala, pośrednio i urywkowo za pomocą gazet.

M. Annenkow.

TO I OWO.

Dola nauczycielek.

We warszawskiej „Prawdzie“ znajdujemy następujące uwagi o doli nauczycielek:

„Dola ich osławiona, głośna, niejednokrotnie już się odbiła echem współczucia śród lepszej cząstki społeczeństwa, niejednokrotnie śród niej gorycz i oburzenie wywołała. Nauczycielka, szczególnie wędrująca po prowincyi, jest istotą najbardziej narażoną na poniewierkę, podeptanie godności i praw człowieczych, najbardziej znieważaną i policzkowaną moralnie na każdym kroku, najbardziej bezsilną i najmniej obronną wobec pogardy i wyzysku. Daje ona to, co może dać najlepszego młodej latorośli śród burżuazyi i filisteryi społecznej: trochę światła i serca. W zamian za to otrzymuje zimny pieniądz, owinięty w zniewagę. „Zapłacona“ niemal tyle znaczy, co „kupiona.“ Ponieważ jest przyjęta do domu, częstokroć sypia w jednym pokoju ze swemi pupilkami, więc musi nad niemi czuwać i we dnie i w nocy, pilnować, ażeby zasnęły spokojnie i „przyzwoicie,“ ażeby się zbudziły na czas i wedle przepisów „wychowania,“ ażeby wzorowo zjadły śniadanie, wzięły się do lekcyi, poszły na spacer, spożyły podwieczorek i kolacyę, ażeby przy stole zachowywały się wedle przepisów kodeksu towarzyskiego. Nauczycielka ma całkowicie zagwożdżoną niemi głowę i we śnie i na jawie; zrywa się w nocy, ażeby zobaczyć, czy śpią spokojnie, czuwa w dzień nad każdym ruchem i słowem. Niema dla siebie kąta osobnego, chwilki jednej na rozmyślanie niezależne, wypoczynek, lub czytanie. Dobrze, jeżeli choć sztywnie, lecz „przyzwoicie“ i względnie grzecznie jest traktowaną, jeżeli po za pracą pedagogiczną nie jest na nią wkładana żadna inna rola. Wyjątkowo zaliczana bywa ,,w poczet rodziny,“ otaczana serdecznością niekłamaną.

W większości wypadków dzieje się inaczej. Bywają takie fakty, które należy podawać jako ostrzeżenie publiczne. Oto jeden z wielu zasługujący na ujawnienie: Do Falenicy, ogniska letnich mieszkań przy kolei Nadwiślańskiej, rodzina przemysłowca sprowadziła sobie nauczycielkę, którą odrazu po przybyciu na miejsce wzięto nietylko w niewolę, lecz pod każdym względem zaliczono do kategoryi sług. Nie wolno jej było nawet w pokoju wieszać swego ręcznika, kazano umieszczać go w kuchni: nie wolno było czytać, ani też na chwilę zniknąć z oczu „pani domu.“ Nie miała prawa w niedzielę udać się na parę godzin do krewnych, mieszkających w pobliżu. Obrzucana na każdym kroku zniewagą, którą zwykle najhojniej szafują ludzie z drobnomieszczańskich sfer dorobkiewiczów, musiała wreszcie po tygodniu męk i obelg porzucić swoją pracę niewolniczą. Zapłacono jej akuratnie za tydzień i akuratnie wytrzymano do tej godziny, o której przed tygodniem przyjechała. Takie znamienne fakty będą się zdarzać ciągle, póki nie powstanie u nas racyonalne pośrednictwo, zamiast obecnych kantorów stręczeń, mających tylko spekulacyę na celu. Pośrednictwo takie powinno się opierać na obustronnem sumiennem badaniu stosunków. Dotychczas tylko zarobkodawcy żądają danych dotyczących uzdolnienia i konduity nauczycielek. Jest to całkiem słuszne wymaganie. Ale należałoby również skrupulatnie badać wartość moralną zarobkodawców. Zapewne — przyczyną wzajemnej goryczy i niechęci między zarobkodawcami i nauczycielkami bywa nieraz brak odpowiednich kwalifikacyi ze strony pracownic, lub ich temperament, pozostający w wiecznej rozterce z niewłaściwym rodzajem pracy. Ale to w całej tej dziedzinie daje znacznie mniejszą sumę faktów i — łatwiejszą możność unikania tych rozczarowań i zawodów.“

Na Wyłomie.

(Nowy dyrektor teatru. Moja rozmowa z p. Rygierem i jego program.)

Post tot discrimina rerum zakończyła się sprawa teatru zwycięstwem p. Edmunda Rygiera z Krakowa. Radzie nadzorczej, a w pierwszym rzędzie panu Bronisławowi Żychlińskiemu i dr. Kusztelanowi, jako członkom ściślejszej komisyi, należy się słowo serdecznego uznania, że energią swoją i sprężystością kłam zadali pogłoskom o typowej apatyi ministeryalnego biura sceny poznańskiej, a torując wybór kierownika, który jako człowiek i jako artysta posiada nader cenne zalety, złożyli zarazem dowód krytycyzmu zdrowego.

Mamy zatem nowego dyrektora i witamy go z tą ufnością, że dokona on pomyślnie reorganizacyi teatru i stanie się odnowicielem tej biednej sceny, która w ostatniem dziesięcioleciu, mimo ofiar stutysięcznych, spadała na coraz niższe szczeble artyzmu i służyła tak w naszych jak zakordonowych dzielnicach za temat drwin zasłużonych. Niech tylko publiczność poznańska oceni należycie ogrom zadania i niechaj nie żąda, by p. Edmund Rygier jak rycerz legendowy uprosił sobie u leśnej wróżki różdżkę czarodziejską, która za jednem dotknięciem stajnię w pałace zamienia. Nowy dyrektor obejmuje teatr poznański w trudniejszych warunkach niż którykolwiek z poprzedników jego: Garderoba pusta, dekoracye pożal się Boże, rekwizyta w ruinach, — same rupiecie i strzępy. Każdy z dawniejszych kierowników brał w spadku po zdetronizowanych dyrekcyach jaką taką spuściznę w kostyumach, meblach, przyborach scenicznych, lecz śp. Franciszek Dobrowolski na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu wolał opłacać sowicie całe legiony nieużytków w personelu teatralnem niż poświęcić kilka marek na malarzy, tualety i — nie uwierzycie — g w o ź d z i e i p o w r o z y. Proszę nie posądzać mnie o przesadę. Nie korzystam dzisiaj z przywilejów feljetonisty i nie szukam na palecie jaskrawych kolorów. Opowiadam fakty autentyczne, na które nieraz tak często i tak gorzko się skarżyłem. I niechaj mi nikt nie przypomina znanego przysłowia: „Tak krawiec kraje, jak mu sukna staje“ bo ten krawiec poniesiony niedawno do mogiły źle krajał, i dla tego sukna nie stało i dla tego dziś takie gruzy i sypkie rumowiska w teatrze. Nie tykałbym grobów, gdyby nie konieczność zapoznania publiczności z tem wyjątkowem zniszczeniem, w które p. Edmund Rygier wstępuje, by pracować, budować i dźwigać scenę z upadku.

Dni kilka temu spotkałem go wracającego z wycieczki na teren przyszłej działalności. Oblicze miał zasępione i troską pokryte, lecz w oczach błyszczała nieugięta wola. Wyciągnąłem rękę:

— Cóż? niewesoło w teatrze?

— Niewesoło — powtórzył cicho, a po chwili zadumy tak do mnie mówił:

— Mam wrażenie, że stanąłem na ruinach zburzonej świątyni, powołany, by zbudować nowy przybytek sztuce. Widzi Pan, jest w tych ruinach niepokój, który pełza ku mnie i mrokiem duszę otacza, ale jest w tym ogromie zadania zarazem coś kuszącego i człowiek zaczyna prawie kochać te gruzy tak, jak matka najsilniej miłuje dziecko swe wtedy, gdy chore i słabe, gdy śmierci wydrzeć je trzeba. Niech się redaktor z moich literackich metafor nie śmieje. Jest w nich może pewna doza przesady, ale my artyści już z zawodu mamy pewien pociąg do barw pełnych i sytych... Tu trzeba być nietylko dyrektorem, reżyserem, artystą, lecz budować, z prochu dźwigać, walczyć ze zniszczeniem. Do takiej sceny, jaką tam widziałem — (tu zwrócił głowę ku teatrowi) — publiczność nie mogła mieć przywiązania. Restauracyę rozpocząć muszę od gruntu i cały warsztat odświeżyć.

Umilkł. Po chwili jednak znów mówić począł.

— Przychodziła mi dzisiaj myśl rzucić to wszystko i wrócić na dawne, wygodne stanowisko w teatrze krakowskim, lecz chciałoby się po sobie na ojczystej ziemi jakiś ślad zostawić. Przecież to nie dosyć być artystą, trzeba być także obywatelem. O moich Otellach i Stockmanach ludzie zapomną niebawem, lecz gdy wielkopolskiej scenie przywrócę jej dawne blaski i ten czar, który niegdyś na publiczność wywierała, to może w tem biednem i znękanem, a wdzięcznem za najdrobniejsze przysługi społeczeństwie zaskarbię sobie trochę serca i trochę trwalszej pamięci.

— A czy pan dokładnie obliczył siły swoje i plan reformy ułożył? — spytałem sympatycznego artysty.

— Nie przeczę, że jest to pewne ryzyko, — odparł — i wiem, że może utopię bez ratunku kawał osobistego mienia w tej scenie, która już tyle pochłonęła tysięcy. Po przeprowadzeniu jednak bardzo ścisłych, nawet nieco pesymistycznie zabarwionych rachunków, nabrałem przekonania, że dzieło reorganizacyi powiedzie mi się niewątpliwie, jeżeli publiczność i prasa nie będzie mi skąpić choćby tylko średniego poparcia. Nie żądajcie jednak za wiele. Muszę działać ostrożnie i oszczędnie, bo zuchwałe eksperymenty finansowe zgotowałyby mi może przelotne powodzenie, lecz mogłyby mnie w pół drogi pozbawić sił, niezbędnych do stanowczej reformy. Dekoracyę, garderobę, rekwizytornię — wszystko to zrestauruję, ale w tempie powolnem, bez efektownego galopu. Gdzie rękę przyłożę, próchno się sypie — w jednej chwili uzdrowić tego kalectwa niepodobna. Przedewszystkiem uleczmy duszę...

— A propos duszy — przerwałem — czy pan pomyślał już o nowej trupie.

— Oczywiście — zawołał żywo artysta. — Jest to może najtrudniejszą częścią mojego zadania, bo zrozumie redaktor, że teatr prowincyonalny musi pracować taniemi siłami, a zatem do powag uznanych i głośnych, do wyżyn artyzmu sięgać nie może. Opierać się będę głównie na talentach początkujących i z młodych artystów złożę *ensemble* przyzwoity. Leszczyńskiego, Ludowej — takich gwiazd naturalnie tu na stały pobyt nie sprowadzę do was, — lecz *si magna parvis comparare licet,* Meiningeńczycy także nie posiadają wybitnych talentów, a podziw budzą *ensemblem.* W poznańskich warunkach reżyserya jest głównym atutem rozstrzygającem o partyi. Zakładam szkołę

i wychowuję artystów. Ciężka to praca lecz wdzięczna zarazem.

— A cóż pan pocznie z dawną trupą poznańską? Ona w części już zgromadziła się na bruku naszem i przypuszcza, że jako spuścizna po starej dyrekcyi znajdzie swój kącik w teatrze. To twardy orzech do zgryzienia takie „*beneficium inventarii*“.

— Myślałem o tem. Ta stara gwardya zgotuje mi niewątpliwie przykrość niejedną. Ale trudno, nie mogę bawić się w żadne sentymenty, chcąc wszechstronnie i konsekwentnie urzeczywistnić plany reformy. W towarzystwie dotychczasowem było mnóstwo nieużytków, które bezwarunkowo usunąć muszę. Pan Dobrowolski forytował z szczególnym pietyzmem artystyczne małżeństwa na poznańskiej scenie. Zdaje mi się jednak, że takiej zasady szczęśliwą nazwać nie można, bo rzadko tylko tak się ułoży stadło aktorskie, by mąż i żona byli użyteczni. Albo jedno albo drugie jest zwykle balastem. Mąż doskonały, żona do niczego, — żona aktorka, mąż blady apendyks; dyrekcya zatem opłaca dwie siły, z których tylko jedna służy teatrowi z pożytkiem. Zresztą jest tu mnóstwo aktorów zastygłych w rutynie i manierze. To najniewdzięczniejszy materyał dla reżysera, bo każda wskazówka odbija się o twardą skorupę jak groch o ścianę. Wolę tysiąc razy siły nierozwinięte zupełnie. Z tych zrobię kiedyś artystów, z tamtych już nigdy. Czy pan redaktor jest innego zdania?

— Bynajmniej. Zastanawiam się tylko nad walką, która pana czeka. Widzi pan, nasz partykularz ciasny posiada prasę o strasznie małomiejskim zakroju. Każdy z dymisyonowanych aktorów znajdzie jakieś pisemko, które poczuwać się będzie do obowiązku opickowania się „naszym zasłużonym“, — „nzszym utalentowanym“, — „naszym sympatycznym“, — naszym „starym filarem teatru“ i t. d. Pojawią się niewątpliwie artykuły, broniące rzekomych praw tego lub owego artysty do teatru naszego, i znajdą się kółka i kółeczka inspirowane, które kwaśnym i słodkim głosem domagać się będą „sprawiedliwości“ — to ulubiony wyraz naszych alarmistów — dla pupilów swoich. Niech to pana nie przestrasza. Watę w uszy i swoje robić! Olbrzymia większość społeczeństwa ufa Panu zupełnie i nie zrazi się oklepanemi deklamacyami naszych dzienniczków.

Nowy dyrektor wzruszył ramionami:

— Cenię prasę jako potęgę, i wiem dobrze, że bez jej poparcia dążenia moje pójdą na marne. Starać się też będę wszystkiemi siłami, aby naprawić dawne stosunki i wszystkie redakcye przywiązać do teatru, lecz reorganizując towarzystwo dramatyczne, kierować się nie mogę żadnemi ubocznemi względami. Talent artysty, jego użyteczność w granicach e n s e m b l e ' u i programu, jego wszechstronność, a wreszcie i finansowa strona kontraktu, — oto momenty rozstrzygające o angażowaniu. Uwzględniając sympatye i antypatye jednostek lub grup miniaturowych, nie stworzyłbym nigdy dobranego towarzystwa.

Na tem urwała się rozmowa nasza. Pożegnałem p. Rygiera słowami: „I n h o c s i g n o v i n c e s“. Czy dobrym jestem prorokiem? Tak wierzę, i zdaje mi się, że dziewięć dziesiątych poznańskiej publiczności wiarę tę podziela.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* M a c i e j W i e r z b i ń s k i. W znakomicie redagowanym tygodniku londyńskim „The Savoy“ ukazała się oryginalna nowela p. Macieja Wierzbińskiego pt. „The Clown“. Nowella ta odznacza się poprawnym stylem, żywością opowiadania i prawdziwym nerwem dramatycznym. Pan M. Wierzbiński, syn znanego posła a stały współpracownik pisma naszego, nie poraz pierwszy próbuje sił swoich w belletrystyce angielskiej, a krytyka wyraża się zawsze z uznaniem o pracach jego.

* * *

* B i b l i o t e k a w a r s z a w s k a, jak piszą pisma warszawskie, ma przejść w ręce Michała ks. Radziwiłła, miłośnika literatury, znanego z kilku utworów poetycznych i mniejszych noweli.

* * *

* A n t o n i M a ł e c k i. Z dziejów i literatury. Pisma pomniejsze. Lwów. Altenberg. Petersburg. Grendyszyński 1896 8-o str. 370.

W książce tej autor zebrał pisma swoje pomniejsze, rozproszone po różnych publikacyach zbiorowych, które już dziś w pewnej części do rzadkości bibliograficznych należą. Na treść dzieła składają się prace: O stanowisku i dziełach autora Irydjona. Irydjon. Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy. Andrzej Frycz Modrzewski. Jana Kochanowskiego młodość. Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza. Biskupstwa w pierwotnej Polsce. Klasztory w Polsce w obrębie wieków średnich. Z tych prac dwie pierwsze, przed 50 laty pisane, jak sam autor mówi, zawierają w sobie miejsca, którychby dziś nie podpisał bez zastrzeżeń: dwie zaś ostatnie, przerobione według źródeł w ostatnich czasach poznanych, zajmują prawie połowę książki. Wszyscy, którzy się interesują historyą literatury i dziejów naszych, wdzięczni będą czcigodnemu autorowi za to zbiorowe wydanie pomniejszych dzieł jego.

* * *

* E x t e r u s. Po zdrowie. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896, str 303.

Bohaterami powieści Exterusa są sami prawie suchotnicy. Rzuca nas w cudną dolinę Meranu i ukazuje małe kółko polskie, które tu się zebrało w poszukiwaniu zdrowia. W kółku tem wrą namiętności, podobnie jak wśród ludzi zdrowych. Ponieważ jednak chorzy pędzą żywot bezczynny, więc uczucia ich są głębsze i drgają niezdrowemi nutami. Kółko to składa się z pani Adeli Przygodzkiej, panny Maryi Zawiełłówny, Juliana Dolskiego i jego siostry Zofii, oraz z panów Ruszczyca, zamożnego podolaka. Własłowicza, poczciwego litwina, Leona Krzyckiego, młodego lekarza z Warszawy i Martynoff'a, porywczego rumuna. Całe kółko zajęte jest wyłącznie sprawą miłości. Rumun, zakochany do szaleństwa w pani Adeli, dobrej i czystej wdowie, zostaje przez nią odrzucony; młoda Zosia Dolska kocha żonatego Ruszczyca; doktor Krzycki żywi uczucie dla pani Adeli itd. Kończy się na tem, że Ruszcyc pod naciskiem perswazyj przyjaciela wyjeżdża z Meranu, aby zapomnieć o Zosi, a doktór Krzycki umiera w Warszawie, zabity suchotami i wieścią, że idealna pani Adela była kochanką zdrowego, o czerwonej szyi, d-ra Męckiego. Pomiędzy epizodami powieści związek jest luźny, charaktery zarysowane dość silnie, treść zajmująca.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Nowy dyrektor teatru poznańskiego, p. Edmund Rygier, wyjechał do Berliua dla nabycia pewnej ilości niezbędnych dekoracyi i kostyumów, mianowicie zaś garderoby francuzkiej. Następnie udaje się p. Rygier do Krynicy i Warszawy dla skompletowania nowego towarzystwa dramatycznego. — Towarzystwo łódzkie, występujące obecnie w Warszawie. odegrało premiowaną komedyę węgierskiego autora Csikyego p. t. „Buborekok“ czyli „Bańki mydlane“. Krytyka poważniejsza przyjęła utwór ten obojętnie. Niebawem wystawi trupa łódzka nową farsę W. Rapackiego (syna) pt. „Cudowne dzieci“. — Dzienniki medyolańskie donoszą: Adelina Patti powiedziała razu pewnego, że nieustąpi prędzej ze sceny, dopókąd nie znajdzie godnej siebie następczyni. Jeźli Diva słowa swego dotrzyma, to może dzisiaj zapowiedzieć stanowczo „ostatnie pożegnalne przedstawienie“, gdyż następczyni znalazła sie w tej chwili w osobie młodością kwitnącej i pięknej Rumunki,. panny Mary d'Asty. Artystka pochodzi z wysoko poważanej, arystokratycznej rodziny z Bukaresztu. Jej krewni zajmują wysokie stanowiska na dworze królewskim, a wiele walk i dużo łez upłynęło, zanim rodzina panny Mary d'Asty pozwoliła jej obrać karyerę artystyczną. Lecz kto ma powodzenie, ma zarazem i słuszność, i panna Mary d'Asty z pewnością nigdy nie pożałuje kroku. który uczyniła. Wszystkie powagi muzyczne Medyolanu i Rzymu jednogłośnie się zgadzają, że mają do czynienia z fenomenalnym talentem, a raczej ze zjawiskiem, dokazującem cudów pod względem śpiewu koloraturowego. Najtrudniejsze pasaże, niemożliwe staccata zwycięża artystka z bajeczną łatwością, tryler jest rzadkiej piękności i czystości, prowadzenie oddechu, frazowanie, intonacya, wogóle całość znamionuje wielką gwiazdę operową. Przytem posiada głos ten prawdziwy srebrzysty dźwięk, który u wysokich sopranów jest tak bardzo rzadkim. Specyalność artystki stanowią ludowe pieśni rumuńskie. Te melancholijne, pełne smutku i skarg utwory, pojęte i oddane w tak genialny i czarodziejski sposób wywierają dziwne i niepojęte wrażenie na umysł i serce. Potędze artystki nie oprze się nikt. Panna Mary d'Asty udaje się do Paryża w celu przestudyowania swego repertuaru w języka francuzkim u sławnej Marchesi. poczem wystąpi w operze wielkiej paryskiej. Z Paryża podejmie artystka dłuższą podróż artystyczną po pierwszorzędnych miastach Europy, między innemi po całych Niemczech i Rosyi, i przy tej sposobności da się usłyszeć w Berlinie i w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Sokół.** Nie zwróciliśmy uwagi na tę zaczepkę poznańskiego korespondenta do petersburskiego „Kraju“, bo osławiony p. W o j n i c z alias D o m a r a t tak często mija się z prawdą, że nie stałoby miejsca na szczegółowe prostowanie jego fałszów. Na życzenie Pańskie jednak cytujemy próbkę ostatnią. Oto „prawdomówny“ korespondent lamentując nad spustoszeniami kolonizacyi, tak kończy: „Wśród takiego ucisku i takich klęsk głosi mówca wielkopolski w Krakowie, że sokolstwo odmłodziło społeczeństwo. Już to przesadą gotowiśmy grzeszyć na każdym kroku“. Fałsz p. Wojnicza polega na tem, że mówca wielkopolski nie powiedział: „Sokolstwo o d m ł o d z i ł o społeczeństwo“, — tylko „Sokolstwo p o s t a n o w i ł o społeczeństwo odmłodzić“. Wyrażenie zamiaru przedstawiono więc tu jako fakt spełniony i na zmyślonej podstawie zbudowano zarzut przesady. Ponieważ żadne z pism referujących o zlocie krakowskim nie przekręciło myśli przewodniej wielkopolskiego mówcy, zatem uważać musimy zaczepkę p. Wojnicza za fałsz t e n d e n c y j n y, ukuty dla zadowolenia osobistych niechęci.

— **Przyjaciółka.** Z nadesłanych „błędów językowych“ skorzystamy częściowo. Polecamy się nadal łaskawej pamięci.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28